

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 6,66 zł w tym 8% VAT
NR 31 (1715) 4-10 sierpnia 2023

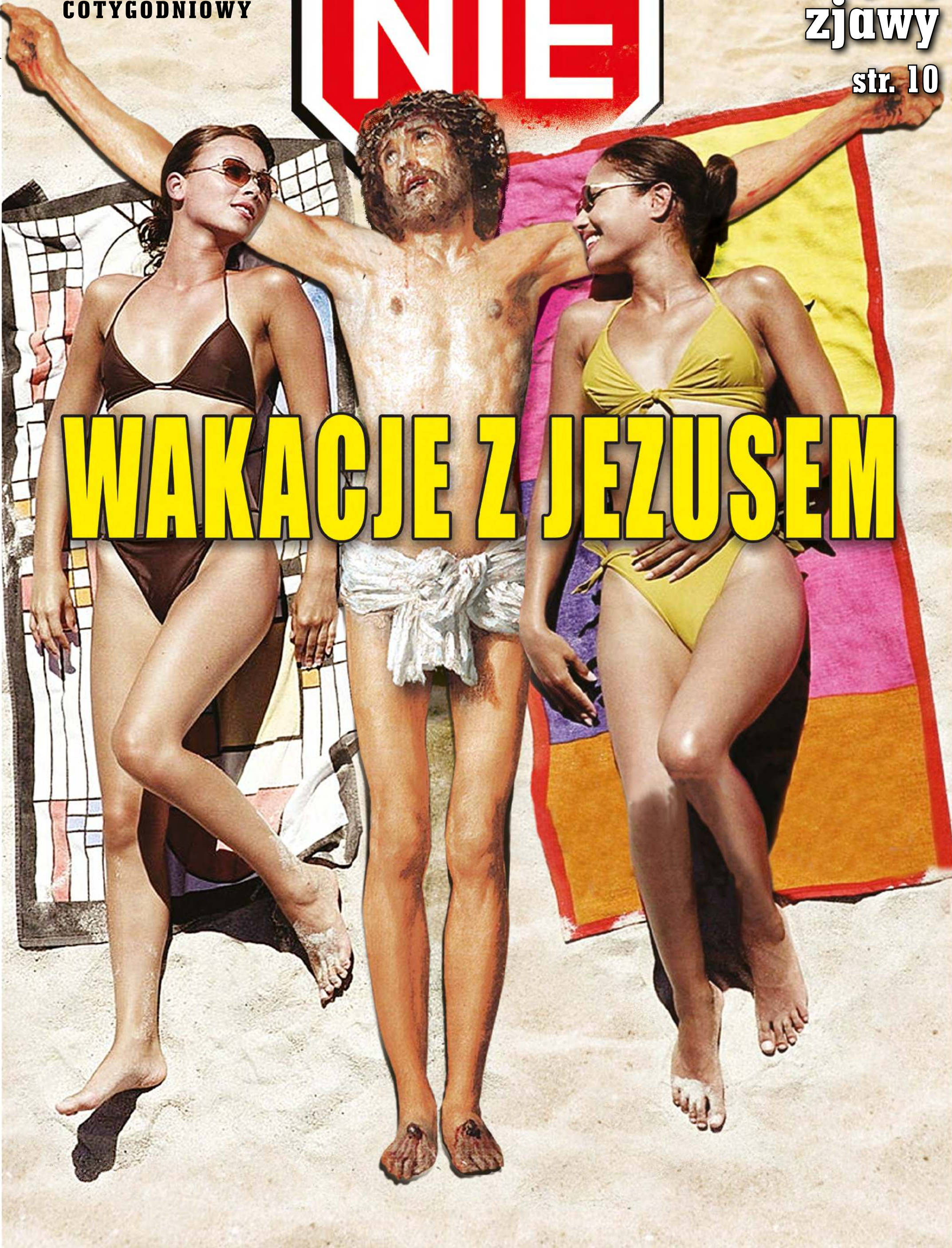


**DZIENNIK
COTYGODNIOWY**



**Pod opieką
świętej
zjawy**
str. 10

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

Tygodnik NIE

Tygodnik NIE

SAŁATKA KAMPANIJNA

♦ Najnowsza garść sondaży: IBRiS dla „Rzeczpospolitej” oraz osobno dla Onetu (z nieco różnymi wynikami), Social Changes dla wPolityce.pl, Estymator dla „Do Rzeczy”, Kantar Public dla siebie. Wyniki: PiS – od 33 do 37 proc., Platforma Obywatelska – od 26,2 do 32 proc., Konfederacja – od 8 do 15,4 proc., Trzecia Droga – od 5 do 11,2 proc., Lewica – od 7 do 10,8 proc. Co kto woli.

♦ Najważniejszym tematem tego tygodnia kampanii było pytanie, kiedy zacznie się kampania. Na razie się nie zaczęła, chociaż trwa od wielu tygodni. Opozycja twierdzi małodusznie, że Andrzej Duda nie ogłasza terminu wyborów, żeby PiS mogło sobie na koszt państwa robić kampanię po piknikach i przekupywać dzieci watą cukrową. Poza watą władza zainwestowała w 5 tys. misiów pluszowych, 30 tys. baloników oraz 15 tys. wiatraczków. Nie ma jednak nic za darmo: w zamian prezes Kaczyński zażądał od „pań” „prezentów dla ojczyzny” w postaci dzieci. Podobna narracja panowała w Niemczech w latach 30., ale tam chętnie widziane były także nieślubne dzieci nieletnich patriotek. Kościół kat. nie byłby zachwycony.

♦ Są też tacy, którzy sądzą, że prezydent zwleka z ogłoszeniem wyborów, bo prezes igra z myślą o opóźnieniu ich przez wprowadzenie stanu wyjątkowego. Prezes orzekł bowiem, iż wróg jest u bram: „Na Białorusi pojawiła się wyjątkowo niebezpieczna formacja zbrojna”. Premier dołożył swoje: że 100 wagnerowców idzie na Polskę, a konkretnie na Przesmyk Suwalski. Jednak w końcu Kaczyński rozwiął wątpliwości, ogłaszając, że rząd czuwa, a „demokratyczne procesy” nie zostaną zatrzymane. PO twierdzi, że złąk się Donalda Tuska, który napisał na Twitterze, że „PiS szuka pomocy wagnerowców ze strachu przed wyborami”, ale „marsz miliona serc wybiję im te pomysły z głowy”. Sebastian Kaleta odparował, że drwiąc z zagrożenia, jakie 100 najemników stanowi dla NATO, Tusk gra „w putinowskiej orkiestrze”.

♦ Być może jednak posądzenie prezydenta, że działa w interesie PiS, jest niesprawiedliwe – albowiem działa we własnym interesie. Ma do przepchnięcia przez parlament ustawę, którą przyjął właśnie sejm z jego inicjatywy. Słychać w niej echo resortów prezydenckich, dziedzictwa niezapomnianej falandzacji prawa z czasów prezydentury Wałęsy. Duda zapisał sobie prawo do decydowania o polskim komisarzu KE, sędzim TSUE i kilku innych stanowiskach w Unii – a na dokładkę rząd będzie musiał biegać do niego ze stanowiskami na posiedzenie Rady Europejskiej i priorytetami prezydencji. Możliwości są dwie: albo Duda zamierza zostać prawdziwym prezydentem, albo sądzi, że PiS przegra wybory. Jak obstawiacie?

♦ We wtorek awantura o termin wyborów na chwilę ustąpiła miejsca ogólnonarodowym zachwytem na temat samobójczego heroizmu warszawskiej młodzieży sprzed 79 lat. Wśród pisowskich zab podstawiających nogę do kucia w ogniu dawnych walk rzuciła nam się w oczy mgr Przyłębska, która, jak przystało na feministkę, złożyła wieniec pod pomnikiem Kobiet Powstania Warszawskiego, pomna bohaterstwa żołnerek, które „mogły ewakuować się z ludnością cywilną”, ale „wiele postanowiło, że powinny trafić do obozów jako czynni żołnierze, mało tego: potem te starsze kobiety ukrywały swoje stopnie wojskowe, żeby być z młodszymi i nimi się opiekować”, co mgr Przyłębska uznała za „obraz niesamowitej odwagi i empatii”. Odbieranie od mgr Przyłębskiej lekcji kobiecej empatii to coś, czego nie planowaliśmy.

Z URNY URBANA

Po ubiegłotygodniowym felietonie Urbana z okazji rocznicy wybuchu powstania warszawskiego pozostajemy w klimacie. Przypominamy fragmenty felietonu powstałego w 1999 r. na okoliczność budowy pomnika AK przed gmachem sejmu.

Odplutym karłom z AK

W trakcie hitlerowskiej okupacji nie mogłem być przeciwnikiem Armii Krajowej jako formacji nieprzychylniej okupantom. Przeciwnie. Pamiętam, że w Tarnopolu wiosną 1944 roku w schronie przeciwbombowym schowanym tam rodakom przeprowadził major AK i zajmował się patriotycznym rozdzielaniem plastrów złotego sera ze zrzutów. Nastrojało to bardzo przychylnie do tej organizacji, gdyż jadło się wtedy na tych ziemiach wyłącznie ser biały.

Wobec rozwieszenia po wojnie słynnych plakatów „AK zapluty karzeł reakcji” przez kilkadziesiąt późniejszych lat uczestniczyłem w przepraszaniu za tę niestosowność. Daje mi to tytuł do krytyki budowanego teraz koło sejmu pomnika Armii Krajowej: wysokiego na kilkanaście piętér, „istnego wieżowca czystej abstrakcji” – jak powiedział prasie autor monumentu. Jedyną racją budowania abstrakcji może być przypuszczenie, że Pan Bóg pragnie obejrzeć z bliska, jak wygląda żelbeton.

Pomnik ten bardziej strzelisty od samej AK nie jest bynajmniej pierwszym takim w stolicy. Zaraz po wojnie pomnikami AK były tysiące domów przemienionych w gruzy w wyniku powstania, które Armia Krajowa wznieciła. Potem stanął na

Starym Mieście pomnik Małego Powstańca akowca, figurka dziecka w hełmie. Krzysztof T. Toeplitz zauważył wówczas, że Polacy są jedynym narodem chlubiącym się tym, iż wyręczał się dziećmi, kiedy miał zamiar wojować. Dalej Armii Krajowej dedykowana była Nike na placu Teatralnym – dziś, zdaje się, gdzieś przeniesiona. Co i słuszne, bo Nike to bogini zwycięstwa, pomnik, który ozdabiała, czcił bohaterów Warszawy, ci zaś zwycięstwa nie odnieśli.

Później już, za kompletnej niepodległości, ustawiono na placu Krasińskich pomnik AK w postaci rozproszonych figur akowców strzelających w rozmaitych pozach. Z niejasnych przyczyn pozerzy prowadzą ogień na dział starodruków Biblioteki Narodowej.

Czego Armia Krajowa dokonała, że tak licznie mnoży się jej pomniki, iż dogania w tym prawie Wojtyła? AK wznieciła bezsensowne powstanie warszawskie i dała pokonać się Niemcom, powodując zniszczenie Warszawy oraz wytrzebienie stołecznej inteligencji polonijnej. Ułatwiła tym sowietyzację Polski. W wyniku walk wszczętych na Kresach Wschodnich dała się rozbroić i pozamykać Rosjanom. Dostarczyła tą bezsensowną obroną

pol skości kresów pożądanego pretekstu władzom PRL epoki stalinowskiej do licznych aresztowań i przesładowań. Rozwiązawszy się po wojnie, AK stworzyła swego konspiracyjnego spadkobiercę – WiN. Dowództwo nad tą formacją rychło objęły siły bezpieczeństwa, co doprowadziło do ośmieszenia zachodnich wywiadów opłacających rzekome siły powstańcze w Polsce oraz skompromitowania emigracji londyńskiej (afera Bergu).

Nie istnieją w Polsce pomniki działających zwycięskich, skutecznych, przynoszących korzyść. Monument AK przed sejmem po raz nie wiem który uwypukla polską osobliwość: stawianie pomników przedsięwzięciom chybnym i przegranym, a przez to czczeniem ludzkich złudzeń i męczarni, które wywołały.

Pół wieku temu jakiś sekciarz lub prowokator wywiesił plakaty mówiące o karłach zapluty. Akowcy chyba trwale zapadli przez to na kompleks karłów, bo lecą go olbrzymim monumentem, aż na trzydzieści dwa metry wysokim.

URBAN

Jak powinniśmy odpowiedzieć Łukaszence na te śmigłowce?

Facebook

Gucio Gucinski: Wysłać Sasina, by mu zorganizował zakup kolejnych.

Anna Maria Pantera: Kowalskiego na nich nasłać, zapluje wroga na śmierć.

Beata Staszak: Gromkimi bravami. W końcu mają aż dwa śmigłowce, i to latające.

Bartek Orzeł: Należy zbudować wyższy plot. Tylko ta władza jest do tego zdolna.

Eugeniusz Rezmer: Przypomnieć, że Łukaszenka to taki ciepły człowiek.

Marcin Łukasziak: Niech Pinokio pogrozi palcem na wiecu i powie: „Ty niedobry Łukaszenka, tak nie wolno, my w NATO jesteśmy”.

Szymon Skonieczny: Również przelecieć nad Białowieżą, niech zobaczy, że z nami nie ma żartów.

Gilotyna Mariusz: Przemówieniem Andrzeja Dudy w języku angielskim.

Maciej Dadej: Mieczem Rydyzka.

Maciej Oleński: To co zawsze. Wyrazić głębokie zaniepokojenie i oddać kraj pod opiekę Maryi Królowej Polski.

Krzysztof Krawczyk: Powinniśmy się wszyscy wycofać do Starachowic i bohatersko przecze-kać. Tak jak zrobiła św. Jadwiga Kaczyńska.

Kamil Bober: Tylko mobilne ołtarze są godną odpowiedzią na tę zniewagę.

Marcin Jakubiak: Zakupionymi caracalami! Oh, wait...

Mateusz Rajkowski: Wysłać im Stanowskie-go, żeby zrobił materiał o Łukaszence.

Piotr Dąbrowski: Migiem!

Forum

BOG: A tak w ogóle to wszystko przez to, że nie powierzono na czas obrony polskiej przestrzeni powietrznej opiece Matki Boskiej.

PRASA ŚNIADANIOWA

Jarosław Kaczyński pojechał na urlop, aby myśleć o kampanii. Wiadomo, o kim będzie myślał, rozginiatając komara.

Radio Maryja przypomniało, że sierpień jest miesiącem abstynencji. Chyba że walimy krew Chrystusa.

Jak wynika z badań, młodzi Polacy **przeszacowują swoją emeryturę** o 300–500 proc. To tak samo, jak myślały polskie gwiazdy lat 70. i 80.

W tygodniku „Niedziela” **o. Jacek Salij** powiedział, że każdy rozwód ma w sobie coś z zabójstwa. Chyba że unieważnienie jest kościelne, to wtedy nie.

5 sierpnia w Toruniu odbędzie się **Dziękczynienie w Rodzinie**. Czy wujcio Antoś będzie?

„Jesteś wspaniałym chłopcem” – powiedziała **powstanka Sosenka** do Mateusza Morawieckiego podczas obchodów rocznicy powstania. Drewniane serduszko pajacyka zabiło szybko.

MARTA M.



PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOŚZ DONIOŚ

Głodziutki

Jest głodziutki. Uśmiechnięty. Wyluzowany. Taki swój chłop, co to i browca wypije, i zagada normalnie. Przekonuje, że ma receptę na wszystko, a jego przekaz jest prosty jak budowa cepa. Taki polityczny Zenek Martyniuk: daję wam szansę na dobrą zabawę, ale kupcie bilety przy urnie. To na scenie, bo za kulisami czają się Bosak, Braun i Korwin-Mikke, razem z Mentzenem jak czterej jeźdźcy Apokalipsy.

Brednie Mentzena, nachalnie obecne na YouTube, a ograniczone chwilowo do kwestii finansowych, są jak wyrąbane z paździerza, ale mają w sobie siłę przyciągania. Podobna sytuacja miała miejsce dziewięćdziesiąt lat temu u naszego zachodniego sąsiada i wypadałoby pamiętać, czym to się skończyło. Młodzi jakoś słabo kojarzą, a szkoda.

Od zawsze mam awersję do wszystkiego, co zbyt ładne – ulizany Mentzen jest maską, za którą schowane są, póki co, cyniczne i zawzięte pyski pozostałej trójki. Obawiam się, że mają wściekłość.

Waldemar Miksa, Gdańsk

Łowcy Mariusza Kamińskiego

Wsiadając do auta, wystawiasz się na cel.

Ponad 1,3 mld zł z nałożonych przez policję mandatów wpłynęło w ubiegłym roku do państwowej kasy. Rok wcześniej budżet państwa został z tego tytułu zasilony ledwie 692 mln zł.

Wbrew propagandzie wcale nie chodzi o poprawę bezpieczeństwa. Statystyki wypadków i śmierci w kolizjach drogowych spadają od lat. Wprost proporcjonalnie do oddawania kolejnych bezpiecznych dróg ekspresowych. Według ekspertów dobre drogi to główny czynnik wpływający na spadek liczby wypadków.

Zanęta ogólnopństwowa

Polowanie na kierowców służy zdobywaniu przez państwo pieniędzy. Nagonka na prowadzących pojazdy zaczyna się wcale nie na drogach. Najpierw bowiem państwo musi spowodować, żeby jeździło po kraju jak najwięcej aut. Temu służy polityka transportowa. Polega zaś ona na tym, żeby ludziom nie opłacało się korzystać z komunikacji zbiorowej. Dlatego autobusy jeżdżące na długich trasach może nie są strasznie drogie, ale wloką się tak niemiłosiernie długo, że nikt nie zaryzykuje jechania nimi nad morze ze Śląska czy Krakowa, a nawet ze stolicy.

Z pociągami jest trochę inaczej. Są połączenia w miarę szybkie i drogie oraz wolniejsze, mniej komfortowe, ale tańsze i jeżdżące bardzo rzadko. Tymi szybkimi dojedzie się w kilka godzin. Jednak cena biletu powoduje, że lepiej jechać własnym samochodem. Już przy dwóch osobach w aucie na trasie ze stolicy do Krakowa czy Gdańska w stosunku do pociągu jest się do przodu o kilkadziesiąt złotych. Nie wspominając, że z Gdańska czy Krakowa trzeba się jeszcze dotelepać do jakiejś Łeby czy innego Zakopanego.

Nietolerancja radarowa

PiS, wyganiając w sezonie urlopowym ludzi samochodami, wie, że to czysty interes dla budżetu. Po to podniesiono mandaty i wprowadza się co kilka miesięcy kolejne obostrzenia. Kilukrotnie zmiany przepisów w ciągu roku powodują, że mało który kierowca jest w stanie za nimi nadążyć. I dlatego łamie je nieświadomie.

Najlepszym przykładem jest obowiązek jechania za autem w odległości takiej jak wskazanie na liczniku, tylko w metrach. Dlatego na autostradzie trzeba jechać za kimś jadącym 140 km/h w odległości 140 m. Oczywiście żaden samochód nie jest wyposażony w czujnik pokazujący, jak daleko przed nami jedzie inne auto. Można się zatem zdać tylko na czuj. Gliniarze o tym wiedzą i nie wahają się karać pięciusetzłotowym mandatem za coś, czego kierowca nie jest w stanie zakwestionować.

Jeszcze większe pole do popisu drogówka ma w kwestii przekraczania prędkości. Oficjalny taryfikator mówi, że jak jedziemy szybciej od limitu o 1 km/h, to mandat wynosi 50 zł. Ale gdy przekroczymy szybkość o 31 km/h, to z kieszeni wypływa nam już 800 zł. Chyba że wcześniej złapano nas za to samo – wtedy mandat wynosi 1600 zł. Najwięcej

zapłacą ci, którzy jadą za szybko o 71 km/h. Kara wyniesie 2500 zł, a przy recydywie 5000 zł.

Kary za jednokilometrowe przekroczenie poszczególnych limitów sypią się każdego dnia. Choć wszyscy wiedzą, że jest to bezprawne. Policyjne urządzenia do pomiaru prędkości mają bowiem w ministerialnym rozporządzeniu wypisane, że wynik pomiaru to „ ± 3 km/h dla prędkości do 100 km/h i ± 3 proc. wartości mierzonej dla prędkości powyżej 100 km/h”.

Wobec tego, gdy policjant wlepia mandat 800 zł, bo tam, gdzie wolno było jechać 70 km/h, jego radar pokazał, że mieliśmy 101, to nie ma prawa tego zrobić, bo mogliśmy przekroczyć prędkość o 29 km/h – a to kosztuje już tylko cztery stowy.

Policjanci o tolerancji swoich radarów wiedzą. Wiedzą o nich też wszyscy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji. We Francji kary za przekroczenie prędkości wymierzane są z uwzględnieniem błędu pomiarowego dla urządzenia, którym wykonany był pomiar. Prędkość pomniejsza się o jego wartość na korzyść kierowcy. Ale urzędnicy Kamińskiego mają to gdzieś. Niezgodne z prawem łapanie i karanie kierowców trwają.

Liczniki w samochodach też mają swoją tolerancję, a na dodatek to, co pokazują, zależy od stanu opon. Bo gdy się jedzie samemu, bez ładunku, mając nowe, niezdarte gumy, na dodatek dopompowane do oporu, to nawet jeśli prędkościomierz pokazuje, że śmigamy 100 km/h, możemy jechać o 5 km/h szybciej. Gdy zaś opony są łysy i niedopompowane, a auto przeładowane, to choć mamy stowę na liczniku, tak naprawdę jedziemy z prędkością 95 km/h. Tak mówi fizyka, z którą wyraźnie nie zgadza się resort Kamińskiego.

Teren odbierający prawko

O ile jednak mandaty za prędkość to ledwie naciąganie prawa przez policję, o tyle odbieranie przez drogówkę prawa jazdy za szybkość w terenie zabudowanym jest jawnym łamaniem prawa. Mamy taki prostokątny znak, w którym na białym tle są zabudowania. Oznacza on, że trzeba jechać z prędkością 50 km/h, chyba że obok jest inny znak pozwalający śmigać szybciej. Najczęściej jednak tego znaku nie ma.

Policja ustawia znak o wjeździe w teren zabudowany według swego uznania. Nader często co najmniej kilometr od pierwszego budynku, czyli gdzieś jeszcze w polu lub lesie. Potem zaś zasada jest z radarem kilkadziesiąt metrów dalej. Jeśli ktoś przepiął znak i jest nieświadomy, że rosnące wokół drogi sosny lub ziemniaki to zabudowania, ciśnie gaz. A jeżeli radar pokaże, że ciśnienie wywołało 101 km/h, to traci się od razu prawo jazdy. Bez prawa do obrony czy choćby zakwestionowania faktu, iż doszło do wykroczenia opisanego w ustawie. Kierowca traci prawo jazdy nawet w sytuacji, gdy policjant, który stwierdził wykroczenie, nie dysponuje dowodem mogącym utrzymać się przed sądem.



Przepis ten był tak głupi i zakrawający na kpinę prawną, że kilka miesięcy temu wysłał go w kosmos Trybunał Przyłębskiej, jednogłośnie orzekłszy, że w „demokratycznym państwie prawnym” każdy powinien mieć zapewnione prawo do sądu, do obrony, do sprawiedliwości. Szeregowi gliniarze do dziś o tym nie wiedzą i odbierają prawa jazdy, łamiąc prawo.

Uprzejme filmowanie

Policyjna drogówka ma coś gorszego niż PRL-owskie ORMO.

Wyhodowała sobie stada samorządnych szeryfów, żyjących tylko po to, by uprzykrzyć życie każdemu, komu się da. W tym celu osobnicy tacy kupują sobie do aut-ka wideorejestrator i nieustannie nagrywają. I jeśli kierowcy przed nimi zdarzy się kichnąć i zjechać nieco

na linię, to filmik z tą scenką i tablicą rejestracyjną już śmiga na policyjny serwer.

Tam zaś szybko jest przerobiony na stosowny mandat wysyłany do „pirata drogowego”. Komendy wojewódzkie policji w największych miastach w Polsce dostają po kilkanaście tysięcy donosów rocznie. Aby uporządkować procedurę nadsyłania donosów, utworzono kilkanaście adresów mejlowych – po jednym dla każdego województwa. Donos może mieć formę pliku z nagraniem, linku do nagrania zamieszczonego w internecie albo zdjęcia. Nieoficjalnie policjanci twierdzą, że filmiki z drogowymi donosami generują dziś więcej mandatów niż patrol drogówki.

W Belgii, Luksemburgu, Portugalii, Szwajcarii, Szwecji, Niemczech czy Austrii fotorejestratory samochodowe są zabronione. Nawet na Węgrzech prawo stanowi, że nagrania powinny być o słabej rozdzielczości, co uniemożliwia wykorzystywanie ich jako dowodów w sądzie. W państwie PiS prywatne kamerki nie dość, że rządzą na drogach, to jeszcze dają rządowi setki milionów zysku. I kasują samochodową zwierzynę prawie równie skutecznie jak wymyślane przez Obajtka ceny paliw.

TADEUSZ JASIŃSKI

ETYKA BEZBOŻNA

PiS wymyślił sobie kolejny sposób na finansowanie kampanii wyborczej z publicznych pieniędzy. Otóż urządza po całym kraju „pikniki informacyjne”, na których rozdaje kiełbaski i przechwala się, że 500 plus urosło do 800 plus. No bo jak czelek nie przyjdzie na piknik i nie zeżre kiełbasy, to za Chiny Ludowe nie dowie się, że dostał trzy stowy więcej na konto!

Żarty żartami, ale kiełbasa wyborcza to poważna kwestia. Chodzi przecież o rodzaj przekupstwa, a o takiego, które bez trudu może stosować władza, a opozycja jedynie licytując się na obietnice. Przaśna nazwa nie jest tu przypadkowa ani nie na miejscu. Bardzo często do wyborców dociera się właśnie przez żołądek, a w naszej części świata doskonale nadaje się do tego celu właśnie kiełbasa. Ten dość ordynarnie wyglądający pokarm doskonale wpisuje się w wulgarność samego zjawiska, które polega na psuciu obywatela i redukowaniu go do tego, co w nim najbardziej pierwotne, czyli zwierzęcej chciwości i łapczywości. Kiełbasa wyborcza jest bowiem takim oto przekazem: my ci dajemy pieniądze, a ty za to na nas głosujesz. Po co ci się zastanawiać nad resztą spraw, skoro nasze rządy ci się po prostu opłacają? No to głosuj i siedź cicho!

Kiełbasa czy marchewka?

Bo w przekupstwie politycznym chodzi zawsze o coś więcej niż prosta transakcja: transfer socjalny w zamian za głos wyborczy. Kontrakt jest bardziej rozbudowany. Ten, kto da się przekupić, otrzymuje korzyść materialną, lecz płaci za to nie tylko głosem (który wszak nic go realnie nie kosztuje). Płaci ponadto moralną degradacją. Staje się kimś, kto swoim postępowaniem potwierdza, że w życiu społecznym każdy może ciągnąć w swoją stronę, kierując się swoim osobistym egoistycznym interesem, nie zważając na innych i na dobro publiczne. Taki jest pierwszy tajny punkt umowy, jaką populistyczna władza zawiera z przekupnym wyborcą. A drugi tajny punkt mówi, że skoro już się tak zeszmaciłeś, że oddajesz swój głos za pieniądze, nie bacz na interes społeczny, wartości i takie tam michałki, to będąc już tą sprzedajną szmatą, pozbawiasz się prawa do oceniania władzy.

Doskonale to wyraziła kilka lat temu Elżbieta Witek, mówiąc, że skoro ludzie dostali 500 plus, to nie powinni teraz protestować przeciwko rządowi. Dostałeś? No to się zamknij!

Na tym jednak nie koniec. Jeśli władza opiera się na rozdawaniu pieniędzy czy przywilejów, to siłą rzeczy antagonizuje społeczeństwo. Daje przecież tym, od których może się spodziewać głosów, a to bynajmniej nie jest sprawiedliwe kryterium

redystrybucji. Ci, którzy tej władzy nie chcą i nie stają się beneficjentami jej przekupnej polityki, zmuszani są do jej finansowania. Ileż to ktoś, kto wcale nie jest biedny ani chory, dostaje gotówkę od rządu, tyleż ktoś inny, czasami nawet uboższy, musi oddać na ten cel część swoich dochodów. Bynajmniej nie wytwarza się przez to żadna więź solidarności. Wręcz przeciwnie – tworzy się bariera z żalu i złości. Jakaś część społeczeństwa staje się zakładniczką drugiej części, którą władza obdarza świadczeniami w zamian za poparcie wyborcze. Jeśli jednocześnie (a zwykle tak bywa) ta władza, żyjąca z amoralnego kontraktu ze swoimi wyborcami, sama jest mafią, ograbiającą państwo, niszczącą praworządność i demokrację, to w konsekwencji cały ten proces, u którego początku jest zwykłe rozdawanie kiełbasy wyborczej, okazuje się procesem degradacji i społeczeństwa, i państwa. Dlatego takie prostackie pikniki wyborcze i cała wulgarna propaganda pod hasłem „No przecież wam dajemy!” to nie tylko jakieś tam polityczne szambo na tyłach podwórka. To gangrena, która toczy całą wspólnotę społeczną – począwszy od kręgów rodzinnych i sąsiedzkich, a skończywszy na konstytucyjnym porządku całego państwa.

Dlatego nie ma na świecie droższej i bardziej trującej kiełbasy niż ta wyborcza. A w dodatku bardzo

trudno się jej pozbyć. Gdy bowiem władza obiecuje i daje, opozycja musi się do tego odnieść. Jaki polityk odważy się powiedzieć, że gdy dojdzie do władzy, to kiełbasę wywali do kubła? Prędzej już zaproponuje golonkę. Właśnie dlatego, że obietnice wymuszają licytację na obietnice, populizm i przekupstwo wyborcze są tak trudne do zwalczania. Musi się bowiem znaleźć ktoś, kto powie stop. Ale taki gęst kosztuje karierę polityczną.

Na szczęście kiełbasa wyborcza ma też jedną zaletę. W długiej perspektywie służy postępowi i sprawiedliwości społecznej. Dopiero gdy na stała w Europie jako taka demokracja, gdzieś na przełomie XIX i XX w., a rywalizujące ze sobą partie zmuszone były wymyślać, co by tu ludziom obiecać, a potem musiały te obietnice realizować, powstały warunki dla takich wynalazków jak ośmiogodzinny dzień pracy, urlopy, ubezpieczenia społeczne czy publiczna służba zdrowia. Tyle że tę kiełbasę już dawno zjedliśmy. Przyszłość należy do tych polityków, którzy owszem, będą ludzom obiecywać, a potem dawać, lecz nie będzie to chamska kiełbasa, ale mądre i sprawiedliwe reformy. Tyle że to trochę tak, jak gdyby na tym pisowskim pikniku zastąpić kiełbasę surową marchewką z ryżowym wafelkiem, a kufel piwa sokiem z jarmuzu. To działa, owszem, lecz w trochę innym od naszego świecie. Ale poczekajmy, może i u nas kiedyś kiełbasa zamieni się w marchewkę. Będzie to prawdziwy cud przeistoczenia!

JAN HARTMAN

A Wersal ciągle cuchnie...

Postawmy pomnik Lepperowi.

Nie mam przesadnego przekonania do pomników. Gdyby w ich miejscach postawić bezpłatne publiczne toalety, świat byłby, moim zdaniem, dużo przyjemniejszym i czystszy miejscem. Ale jest jeden pomnik, na który jestem gotowa się zrzucić: pomnik Andrzeja Leppera.

5 sierpnia mija 12. rocznica śmierci szefa Samoobrony – śmierci uznanej przez prokuraturę za samobójstwo, a przez wielu wyznawców teorii spiskowych w Polsce okrzykniętej przebiegłym morderstwem. Rok temu Artur Dziambor – wówczas jeszcze w Konfederacji – żądał nawet zwołania komisji śledczej.

Osobiście – wyznam szczerze – nie mam w tej sprawie zdania. Po trosze dlatego, że jednak nieco boję się śmieszności związanej z teoriami spiskowymi, ale głównie brak mi wiedzy. Logicznie rzecz biorąc, słabo przekonuje mnie teza, że w 2011 r., cztery lata po odejściu z rządu i wypadnięciu Samoobrony z sejmu, ktoś czuł się przez Leppera – pozbawionego nie tylko władzy i wpływów, ale także środków do życia – zagrożony na tyle, żeby podejmować ryzyko jego zabójstwa.

Ale ważniejsze jest to, że Lepper – w odróżnieniu od wielu innych pomnikowych postaci – zasługuje na upamiętnienie nie ze względu na to, jak umarł, tylko na to, co zrobił za życia.

Klasizm kontra demokracja

Andrzej Lepper był bohaterem mojej bajki. Pod wieloma względami był to polityk zupełnie wyjątkowy. Niesamowicie zdolny, obdarzony naprawdę błyskotliwą inteligencją, charyzmatyczny

i niepozawiony wdzięku. Ale jednocześnie taki jak lud, który reprezentował: pracowity, zawzięty, kiedy można, elastyczny, kiedy trzeba, genetycznie zaprogramowany na przetrwanie w niesprzyających warunkach społecznych.

Był jedynym w historii III RP autentycznym przywódcą autentycznego ludowego buntu.

Samoobrona jest niezwykle ważnym zjawiskiem w historii III RP. Jej losy to dowód na obrzydliwy klasizm i snobizm nowej Polski, ale także wyraz prawdziwej demokracji. Takiej, w której silne partie powstają nie tylko w zacisznych stołecznych gabinetach, lecz także mogą zrodzić się z gniewu ludu na zabitej deskami prowincji.

O niezwykłości postaci Leppera świadczy to, że wzbudził nieodpartą potrzebę zniszczenia go po obu stronach nieprzekraczalnej politycznej barykady. I obie strony nie wahały się sięgnąć do najobrzydliwszych kłamliwych metod, żeby to osiągnąć.

Kaczyński i „Wyborcza”

Jarosław Kaczyński kazał zmontować przeciwko niemu prowokację, ubierając go w absurdalny zarzut łapówek za odrolnienie gruntów, co pisowskie służby specjalne zrobiły gorliwie i z radością, po drodze łamiąc prawo i fałszując dokumenty, za co Mariusz Kamiński i jego hunwejbini zostali skazani na więzienie (ułaskawił ich – jak pamię-

tamy – nielegalnie prezydent Duda).

„Gazeta Wyborcza” zorganizowała lincza zatytułowany „Praca ze seks w Samoobronie” oparty na kompletnie niewiarygodnych i wewnętrznie sprzecznych opowieściach panny, która miała romans z wiceprzewodniczącym partii i postanowiła zemścić się na całej formacji za to, że nie dał się zrobić w nie swoje dziecko i nie zostawił dla niej żony. Wyrok sądu I instancji, skazujący Leppera za gwałcenie Anety Krawczyk, został w całości uchylony przez sąd apelacyjny, który zarzucił mu obrazę zasad postępowania dowodowego poprzez nieprzyjmowanie żadnych dowodów obrony. Krawczyk zeznawała, że konkretnego dnia Lepper gwałcił ją jak zwykle i tak samo wyglądał, podczas gdy w tym czasie miał złamany obojczyk i gips od szyi do pasa; że molestował ją w biurze w Tomaszowie, podczas gdy był w TVP na żywo; że zmusił ją do seksu w hotelu poselskim w Warszawie, podczas gdy bilet i dane Polskich Linii Lotniczych LOT potwierdzały, że akurat

był w samolocie do Gdańska. I tak dalej. Niestety, Lepper nie dożył ponownego procesu.

Cham w gumiakach

Obrzydliwość tego linczu, ekscytacja pornograficznymi (aczkolwiek kompletnie wymyślnymi) szczegółami opowieści Krawczyk, brak jakiegokolwiek refleksji ze strony przeważnie myślących osób – także po śmierci Leppera – to wszystko dowodziło klasistowskiej dyskryminacji, jakiej on i jego partia byli poddani przez całą klasę polityczną. Oto cham wlaż na salony w gumiakach i skończył na sznurku od snopowiażki. Jest sprawiedliwość na tym świecie.

Ukochanym przez mainstream cytatem z Andrzeja Leppera, przywoływanym za każdym razem, kiedy trzeba było uzasadnić obrzydzenie wsiochem na Wiejskiej, było pamiętne: „Wersal już tutaj nie będzie”. Nikt nie przytaczał drugiej części tego zdania, która brzmiała: „bo ludzie na chleb nie mają”. Zaryzykuję twierdzenie, że głód to racjonalny powód do zaatakowania Wersalu. Był w 1789 – ale także w 1997 r. A Lepper, z całym swoim rzekomym chamstwem i agresją, był jednak bliżej Wersalu niż dzisiejszy ton polskiej debaty publicznej.

Bójka pod pomnikiem

Inicjatywa budowy pomnika Leppera podzieliła się – jak to bywa w takich razach – na dwie grupy wzajemnie się zwalczające. Z jednej strony jest Sławomir Izdebski, były senator Samoobrony i przewodniczący Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych Rolników i Organizacji Rolniczych, które w czerwcu podjęło uchwałę w tej sprawie. Z drugiej strony zbórkę prowadzi Stowarzyszenie Pamiętamy kierowane przez Krzysztofa Prokopczyka, który nawet ostatnio reaktywował partię o nazwie Samoobrona RP. Prokopczyk uważa, że Izdebski nie ma prawa budować pomnika Leppera, bo w 2006 r. został wyrzucony z partii. Izdebski pyta: „Kto wie, kto to jest Prokopczyk?” i dodaje, że pomnik powinni budować dawni współpracownicy wodza.

Apeluję: dogadajcie się. A wtedy zrzucę się na pomnik i jeszcze znajomych lewaków namówię, szantażując ich oskarżeniami o klasizm i wspólnotę ideową z PiS i PO.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Parszywieńka ukraińska owca

Miłość polsko-ukraińska przechodzi kryzys. Po tym, jak premier Ukrainy Denys Szmyhal określił próbę ochrony polskiego rynku przed ponownym zalewem ukraińskiego zboża jako „nieprzyjazny i populistyczny krok”, prezydencki minister Marcin Przydacz poczynił dość racjonalne spostrzeżenie, że najważniejsza jest „obrona interesów polskiego rolnika”, a „Ukraina otrzymała bardzo dużo wsparcia od Polski, warto by było, żeby zaczęła to doceniać”. W odpowiedzi ukraiński MSZ wezwał polskiego ambasadora, żeby go opierdolić – „komentarze Przydacza o rzekomej niewdzięczności Ukraińców za pomoc udzieloną przez Polskę są niezgodne z prawdą i niedopuszczalne” – co nieco zagniewało premiera Morawieckiego: „Wezwanie polskiego ambasadora – reprezentanta kraju, który jako jedyny pozostał w Kijowie w dniu inwazji Rosji na Ukrainę – do ukraińskiego MSZ nigdy nie powinno mieć miejsca”.

Stopień konfuzji rządowych mediów, które nie wiedzą, jaka linia obecnie obowiązuje, wykazuje depecha PAP, która w leadzie cytuje tweet premiera o „wezwanie” polskiego ambasadora, ale dalej donosi już, że Bartosz Cichocki został „zaproszony na rozmowę”. Konfuzja zapanowała też po stronie opozycji demokratycznej. Borys Budka, zgodnie z zasadą „przyjemność mieć i cnotę zachować” opieprza i Ukraińców, i PiS: „Uważam, że to był błąd strony ukraińskiej. Niefortunna wypowiedź polskiego urzędnika nie powinna przekreślać...”. Radosław Sikorski we właściwym sobie stylu nie zagłębia się w dwuznaczności, tylko lapidarnie napieprza w rząd: „Pojednanie z Ukrainą też zepsują?”. Najlepiej w tej sytuacji poczuła się tradycyjnie ukraińsko-sceptyczna Konfederacja: „To Jarosław Kaczyński, Mateusz Morawiecki, Andrzej Duda i inni służący narodowi ukraińskiego z PiS są odpowiedzialni za dzisiejsze upokorzenie Polski przez ukraińskie MSZ. Konfederacja od początku ostrzegała, że ta pisowska naiwność, romantyzm i rozrzutność tak się właśnie skończy” – pisze z wyraźnym schadenfreude Stanisław Tyska.

I oczywiście nie mogło zabraknąć tradycyjnych kremlowskich korków od szampana: „W relacjach Polski i Ukrainy robi się nie miło, i to nie z winy Polski. Moskwa się cieszy” – diagnozuje Jacek Saryusz-Wolski.

Zwyczajaj nie zgadzam się z nieco megalomańskim założeniem, że Moskwa szczególnie interesuje się tym, co dzieje się w Polsce, ale tym razem wydaje się, że europoseł ma rację: „Wiecie, to jak z wilkiem, który mówi do owcy: zaczęłabyś doceniać, że z całego stada wybrałem cię na obiad. I wtedy owca, choćby i parszywieńka, zaczyna się domyslać, że to nie będzie obiad dla dwojga” – napisała z radością na Telegramie Maria Zacharowa.

Nie sposób nie doceniać dalekowzroczności i konsekwencji konsensusu w polskiej polityce zagranicznej.

AWŁ

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Międzynarodowy Port Lotniczy Katowice po 19 latach funkcjonowania odnotował 25-milionowego pasażera. Z Pyrzowic, gdzie znajduje się lotnisko, można polecieć m.in. na Ibizę, Maltę i Majorkę, do Aten, Burgas, Kopenhagi i Abu Zabi. Powinna was szczególnie zainteresować ta ostatnia lokalizacja w Emiratach Arabskich. Mój plan emerytalny jest taki: Startuję z Pyrzowic. Ląduję w Abu Zabi. Tam na lotnisku wchodzę do damskiej toalety. Zostaję pojmany. Następnie skazany na 10 lat więzienia. W pojedynczej celi z klimatyzacją, internetem, telewizorem, prysznicem, opieką lekarską, a w szczególności stomatologiczną, całodobowym wyżywieniem dożywam późnej starości. No, nasz ZUS nie mógłby sobie na to pozwolić.

■ Hanna Mojsiuk, prezes Północnej Izby Gospodarczej w Szczecinie, twierdzi, że „na polską turystykę w ostatnich dwóch latach prowadziła jest niezrozumiała nagonka. Efekt jest taki, że turystów z Polski jest w tym roku mniej nad polskim morzem. „Ile można narzekać na paragony grozy?” – pyta retorycznie pani Hanna. Chcielibyśmy napisać, że pani prezes ma rację, a nad Bałtykiem jest tanio. Ale nie możemy. Nie wiemy, czy tak jest, bo nas tam nie było. A to dlatego, że mówią, iż jest baardzo drogo!

■ A na przykład w nadmorskim Sarbinowie 52-letni wczasowicz z Poznania był na tyle inteligentny, że nie dał się oszukać w grze w trzy kubki prowadzonej przez złoczyńców na przymorskiej promenadzie. Niestety, nie był na tyle inteligentny, żeby zaobserwować nieprawidłowości przy grze w trzy kubki zachować dla siebie. Wykrzykiwał, że to oszustwo. Prowadzący

nielegalny hazard wypalili mu w twarz z broni pneumatycznej. Z poważnym urazem głowy zawieziono wczasowicza do koszańskiego szpitala. We wszystkim trzeba być konsekwentnym, nawet w byciu inteligentnym.

■ Ustaliliśmy, że nie wiemy, jak jest nad morzem, za to wiemy, co tam w Zakopanem. No, może niedokładnie, bo 22 km dalej, w schronisku PTTK nad Morskim Okiem. Półtoralitrowa butelka wody gazowanej kosztuje 14 zł. To jest ponad 1000 proc. marży. I jak tu kochać góry!

■ Najwyższa Izba Kontroli przeanalizowała wyniki egzaminów praktycznych na prawo jazdy w latach 2016–2022 w całej Polsce. Wynika z analiz, że na egzamin w Łomży zdecydowało się ponad tysiąc osób z województwa zachodniopomorskiego. Niektórzy mieli do pokonania 430 km, inni – blisko 700. Na egzaminach z powożenia samochodem w Łomży trafiło również 2 tys. osób z powiatu kętrzyńskiego i kilkaset z miasta Krosna. A to wszystko dlatego, że poziom kształcenia przyszłych kierowców w Łomży jest najwyższy w Polsce. Za pierwszym razem zdaje tu 48 proc. egzaminowanych. Lepiej jest tylko w Ostrołęce, gdzie zdaje aż 56 proc. już za pierwszym razem.

■ Minister obrony narodowej Mariusz Blaszczak poinformował, że Agencja Uzbrojenia kupiła od Szwedów dwa używane samoloty nowoczesnego ostrzegania Saab 340 AEW za 232 mln zł. Obecnie nasze radary są w stanie wykryć – jak twierdzi Blaszczak – ruską rakietę z odległości 50 km. A te samoloty wykryją ją już z odległości 100 km! Prędkość przelotowa rosyjskiej rakiety wynosi 2 km na sekundę. Oznacza to, że dzięki inwestycji 232 mln zł będziemy wiedzieli 25 sekund wcześniej, że przypierdoli w nas głowica jądrowa. Brawo, panie Blaszczak!

■ Kobiecie z miasta Wrocław przebywającej na wczasach we wsi Osła opodal Bolesławca przeszkadzał pracujący na polu kombajn. Kurzył, warczał i cuchnął dieslem. Po prostu nie do wytrzymania!



Pys. MIROSLAW HAJNOS

Nie tańczcie labada

Lewica na froncie walki o świeckie państwo.

Dawno, dawno temu zdarzyło mi się być na spotkaniu ówczesnego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego z nowo wybranym kierownictwem SdRP (toć mówię, że dawno). I Kwaśniewski udzielił nam wtedy jednej rady, która zasługuje na przypomnienie: jeśli mówicie coś pół żartem, pół serio, to większość mediów pominie to, co jest serio, a zacytuje na serio to, co było żartem, i wyjdziecie na idiotów. Włodzimierza Czarzastego nie było wówczas w tym gronie i może dlatego nie przewidywał, że z całej godnej uwagi konferencji na temat świeckiego państwa do większości wyborców dotrze tylko „tańczy labada, labada, labada”. Rozumiem, że Czarzasty z Scheuring-Wielgus płasali, żeby pokazać, że „lewica do wszystkiego ma dystans” – ale czy nie można byłoby tego dystansu sygnalizować w mniej infantylny sposób? Świeckie państwo to jednak poważna sprawa.

I program lewicy w tej sprawie – zaprezentowany podczas konwencji „Świeckie państwo” 29 lipca – jest poważny: składa się z 18 konkretnych punktów zmierzających do odebrania Kościołowi kat. absurdalnych przywilejów, jakimi obrósł przez 34 lata umizgów kolejnych (także lewicowych) rządów.

Głównie – słusznie – w zakresie finansowym.

Czarny drenaż budżetu

Lewica zapowiada likwidację Funduszu Kościelnego i finansowanie papizmu z dobrowolnych odpisów podatkowych wiernych, podatki i składki od księży jak od wszystkich obywateli, koniec z oddawaniem Kościołowi ziemi darmo lub z 99-procentową bonifikatą, likwidację etatów kapelanów w szpitalach, wojsku, policji etc., wyrzucenie religii ze szkół i idącą za tym likwidację etatów katechetów. Dokument używa przy tym języka, jakim nie zwykło się mówić o Kościele Matce Naszej w III RP: „Uważamy, że wynagradzanie katechetów z państwowego budżetu oświaty zamiast budżetu pracodawcy, którym jest Kościół katolicki, i darmowe (w gigantycznej skali!) wykorzystywanie się szkolnych sal na katechezę to nieuzasadniony drenaż budżetu niedofinansowanej oświaty”.

Do tego dochodzą sensowne postulaty dotyczące wpływu na władzę: likwidacja niesławnej Komisji



Wspólnej Przedstawicieli Rządu RP i Konferencji Episkopatu Polski, na której biskupi mówią rządowi, jak ma rządzić, żeby Kościół był zadowolony, czy ustawowy zakaz łączenia działań państwa i Kościoła, takich jak msze podczas uroczystości państwowych i krzyże w urzędach, szkołach i szpitalach, których wszechobecność nazwano trafnie przemocą symboliczną. Lewica chce także zakazu agitacji politycznej w kościołach. Ten ostatni zapis może być trudny do wyegzekwowania, a poza tym nie jestem tak do końca pewna, czy jest w naszym interesie. Może lepiej, żeby kler nadal uprawiał politykę z ambon, co zniechęca Polaków do chodzenia na msze?

Ważnym, choć już nie tak rewolucyjnym jak kilka lat temu, postulatem jest renegocjacja konkordatu, zwłaszcza że został on opatrzonego swego rodzaju ultimatum: „w przypadku braku dobrej woli Watykanu w kontekście wprowadzenia koniecznych zmian” Lewica deklaruje gotowość wypowiedzenia umowy.

Wpływy i nietykliwość

Na tym nie koniec. W kilku konkretnych punktach Lewica proponuje także osłabienie kontroli kleru – i jego chłopów na posyłki, np. z policji – nad życiem obywateli. To usunięcie z kodeksu karnego zapisu o obrazie uczuć religijnych i zniesienie klauzuli sumienia w publicznej służbie zdrowia. Jest także postulat zobowiązania Kościoła do przestrzegania przepisów RODO i wprowadzenia jasnej, nieskomplikowanej procedury wypisania się z kościelnych rejestrów bez zmuszającej apozycji. Pojawia się też propozycja liberalizacji przepisów dotyczących traktowania prochów zmarłych – dziś trzeba je pochować, Lewica chce, żeby można było je rozsypanie albo zgoła trzymać na kominku.

Dwa punkty dotyczą – a jakże – kościelnej pedofilii: mowa o likwidacji przedawnienia oraz o powołaniu „komisji prawdy i zadośćuczynienia”. Ta ostatnia to kolejny cios tam, gdzie czarnych zaboli najbardziej. Ma doprowadzić do wprowadzenia „bezwzględnej zasady wypłat odszkodowań na rzecz ofiar”.

I wreszcie problem, o którym dotychczas mało się mówiło, a mianowicie absurdalny rozrost kościelnego przemysłu egzorcyzmowego: zakaz odprawiania egzorcyzmów na osobach nieletnich obwarowany sankcją karną zarówno wobec księży, jak i rodziców czy opiekunów, którzy narażają dziecko na ten średniowieczny rytuał. Lewica chce też obowiązkowych lekcji edukacji zdrowotnej obejmującej wiedzę o seksualności i zdrowiu psychicznym.

Lideroza

Program ten przedstawiali na scenie – to niestety wydaje się stałą chorobą lewicy – jej najbardziej

znani politycy: Joanna Scheuring-Wielgus, Włodzimierz Czarzasty, Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, Krzysztof Śmiszek, Adrian Zandberg i Magdalena Biejat. Z tego grona tylko Scheuring-Wielgus ma wyraźne osobiste zasługi na polu walki o świeckie państwo. Tymczasem w lewicowej formacji jest przecież wiele osób, które z kleralizmem walczą od lat, jak chociażby Wanda Nowicka, która pomagała kobietom w nielegalnych aborcjach, zanim stało się to modne, czy Anita Kucharska-Dziedzic, twórczyni znakomitego antyprzemocowego Stowarzyszenia BABA. Chlubnym wyjątkiem od liderskiej dominacji była prowadząca konferencję Agata Didusko-Zyglewska, warszawska radna i współautorka mapy kościelnej pedofilii, ale podejrzewam, że jej udział to efekt zabiegów Scheuring-Wielgus, z którą tę mapę tworzyła.

Co oczywiście nie znaczy, że liderzy nie mają nic do powiedzenia na ten temat: szczególnie w kierownictwie lewicy nie ma już takich osób jak niedysiejszy szef SLD Wojciech Olejniczak, który swój światopogląd opisywał słowami: „jestem tolerancyjnym katolikiem”.

Jeśli pominąć głupawę podrygi, konferencja miała sens i strukturę i padło na niej wiele mądrych zdań. Szczególnie warto wyróżnić twierdzenie Czarzastego, że zadaniem lewicy jest odebranie klerowi władzy nad Polską powiatową, z której państwo wiele lat temu abdykowało,

że musi tam wrócić nie tylko posterunek policji, ale też nowoczesny świecki dom kultury i dobrze wyposażona biblioteka.

Optymizm ekspertów

Kilka tygodni temu czepiałam się lewicowego „Raportu o stanie państwa” stworzonego przez grupkę polityków bez odwołania do ekspertów. Z radością donoszę zatem, że tym razem towarzysze naprawili ten błąd, kończąc swoją konwencję panelem eksperckim. Wprawdzie stwierdzenie Didusko-Zyglewskiej, że „my zawsze współpracujemy z ekspertami, ponieważ na tym polega racjonalne i sensowne działanie”, jest prawdziwe tylko w połowie (owszem, na tym polega; nie, nie zawsze współpracują), ale docenię postęp. Ten krótki panel był zresztą najciekawszą częścią konwencji.

Wzięły w nim udział cztery osoby z różnych stron antyklerykalnego spektrum i, co ciekawe, ich wypowiedzi były w znacznej mierze optymistyczne. Badaczka feminizmu dr hab. Agnieszka Graff przypomniała, że kiedy w roku 2012 warszawska Manifa zaproponowała hasło „Przecinamy pepowinę między sejmem i Kościołem”, a symbolem demonstracji były nożyczki, wielu uznało to za niedopuszczalny przejaw agresji i obrażania uczuć religijnych. Dziś w tle lewicowej konferencji był właśnie symbol nożyczek rozcinających Kościół i sejm. Kiedy pojawiło się hasło „Biskup nie jest Bogiem”, zostało uznane za zbyt radykalne i warszawski Zarząd Transportu Miejskiego odmówił

umieszczenia go w charakterze płatnej reklamy na autobusach. Dziś to wszystko mieści się w ramach normalnej debaty politycznej.

Nadzieja i prawo

Bożena Przyłuska z Kongresu Świeckości apelowała o wyjście ze strefy komfortu i ruszenie w Polskę, dodając, że jej doświadczenie ze spotkań w miastach powiatowych wskazuje na to, że kleryzacja życia publicznego także tam budzi coraz większy opór. Ludzie na prowincji czują się zaszczuci i kiedy spotykają na ulicach kogoś, kto mówi o świeckim państwie, to przywraca im nadzieję.

Piotr Pawłowski – radca prawny, który od lat angażuje się w interwencje przeciw nielegalnym wpływom kleru – powiedział coś, co warto zacytować i zapamiętać: otóż rodzice mają prawa. I kiedy we wrześniu zobaczą na przykład, że religia jest wciśnięta w środku planu lekcji, między matematyką i polskim, mogą pójść do dyrektora i powiedzieć, że nie zgadzają się na to, żeby ich dziecko bez sensu przez godzinę pętało się po korytarzach – i to działa. Dyrekcje szkół przeważnie wiedzą, że tak być nie powinno, i często wycofują się pod naciskiem.

Najsmutniej zabrzmiał głos Krzysztofa Wrońskiego, 18-letniego działacza Młodej Lewicy, który mówił o ankiecie z udziałem pięciu tysięcy internautów opowiadających o swoim doświadczeniu religijnej przemocy nie tylko w kościele czy w szkole, ale także w domu, gdzie najbliżsi przenoszą agresję wyniesioną z Kościoła, wymierzoną np. w osoby nieheteroseksualne. „W Polsce jest dziś bardzo wielu poranionych młodych ludzi i jestem dumny z mojego pokolenia, że nie obawiamy się o tym mówić” – zakończył odrobinę optymistycznie.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

MÓZDZEK TYGODNIA

Podczas przemówień podniesiony podbródek à la Benito Mussolini lub Marian Krzaklewski, pauzy po kluczowych wyrazach, absolutne zachowanie w brzmieniu własnego głosu – to cały on, cały Duduś. Ostatnio w Muzeum Powstania Warszawskiego, a wcześniej podczas święta policji. Prezydent Duda wiódł wówczas opowieść: „Znakomicie państwo wiecie, że najspokojniej wyglądająca drobna kobieta nagle wyciągnie nóż i uderzy na policjanta. (Pauza, podbródek w górę). Znakomicie wiecie, że może się zdarzyć taka tragiczna sytuacja, że nagle dziecko wyciągnie pistolet, choćby taki niebezpieczny przez lekkomyślnego rodzica...”

I dalej: „Obserwujemy uroczystość wręczenia nagród w kategorii „Policjant, który pomógł”. To nie jest policjant, który wszedł i przykreślił śrubkę w domu. (Pauza, wydęte usta). To nie jest policjant, który przyszedł i komuś pomógł naprawić rurę przysłówiową”.

Stop! Niech prezydent Duda zacytuje przysłowia o rurze. Niech prezydent Duda lub któryś z jego etatowych i społecznych doradców poda chociaż jedno przysłowie z rzeczownikiem „rura”.

Przysłowiowy prezydent, przysłowiowy Duda. Piszemy „przysłowiowy”, bo znamy takie przysłowia.

Ze słowem „prezydent”: Ten prezydent to incydent. W kolejnym incydencie będzie po prezydencie.

Ze słowem „Duda”: Mniej Dudy, więcej wody.



Na pomoc w walce z tym wielowymiarowym zagrożeniem zdrowia niewiasta wezwwała więc policję. Przyjechała. Ukarała wyzywającą mandatem w wysokości 500 zł za bezpodstawne wezwanie służb. Zdaniem funkcjonariuszy „rolnik po prostu wykonywał swoją pracę”.

■ Wzrosły ceny słomy. W ubiegłych latach skupowano słomę za 25 proc. wartości zboża. Dziś, przy spadających cenach zbóż cena słomy osiąga wartość połowy ceny ziarna (50 proc). Skupujący płacą po 400 zł za tonę słomy sprasowanej. Specjaliści od Business Intelligence nie przewidzieli rosnącego trendu na rynku słomy. Nie potrafią go też matematycznie wyjaśnić.

■ Od stycznia 2024 r. stawka za odbiór odpadów w Rybniku ma wynosić 24 zł miesięcznie za osobę. Obecnie to 33. Obniżkę zaakceptowali radni. Prezydent miasta Piotr Kuczera twierdzi, że dlatego będzie taniej, że mieszkający lepiej segregują śmieci. To jest jakaś ściema. Wbrew intuicji i powszechnemu przeświadczeniu gminy płacą za odbiór odpadów posegregowanych więcej niż za odbiór zmieszanych. Za odbiór tony plastiku jest to ok. 1900 zł, a śmieci zmieszane kosztują 800 zł za tonę. To jest logiczne. Zmieszane trafiają na wysypiska. Posegregowane trzeba jeszcze na coś przerobić, czego nikt potem nie chce kupić. Prawdopodobność prezydenta Kuczery zasługuje na kontrolę Regionalnej Izby Obrachunkowej.

■ Inspekcja Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych przeprowadziła kontrolę jakości kebabów. Po wizytach w 109 barach kebabowych inspektorzy ustalili, że prawdziwych kebabów w Polsce już nie ma. W polskich kebabach brak jest baraniny, zastąpionej mięsem z kur i krów. Sprawcy fałszerstwa kulinarnego zostali surowo ukarani za pieczenie. Inspekcja zarobiła 60 tys. zł.

■ Jeżeli kalkulator mnie nie myli, kiedy teraz czytasz to, co napisane, do końca rządów PiS-u pozostało co najwyżej 100 dni. Wybory parlamentarne powinny się odbyć najpóźniej 15 listopada. Wszystko zależy więc od Ciebie. Albo będzie to 100 dni, albo cztery lata i 100 dni. Jeżeli miałoby chodzić o te lata, to raczej nie. Tragedia spotka nas dużo wcześniej.

RJ

PS Informacje pochodzą z prasy regionalnej całego kraju, gdzie w zależności od regionu inne jest wyobrażenie o prawdziwej obiektywnej. Należy traktować je z ostrożną powagą oraz unikać uniwersalnych wniosków.

Kiedy miłość odchodzi

W minioną sobotę na trybunach wrocławskiego stadionu pojawiły się liczne i czytelne transparenty: „Stop ukrainizacji Polski”, „Ukraińcy mordowali dzieci na Wołyniu”, „80 lat haniebne-go milczenia za Wołyn”, „Jebać UPA”, „Bande-ra kurwa” i „Jebać banderowców”. Bo grał tam Śląsk Wrocław, a jego kibole znani są z antyukraińskiego hejtu. Choć Wrocław jest miastem przy-jaznym Ukraińcom, a nawet jednym z centrów ich nowej emigracji.

Antyukraińskie banery pojawiały się już na wrocławskim stadionie. Ale nie tak licznie. Za-wsze potępiały je media, PZPN i władze śląskie-go klubu. Zawsze obiecywano, że już się nie poja-wią. Czyżby ich wysyp wieszczył koniec miłości polsko-ukraińskiej?

Stadionowe banery podgrzewają ksenofobicz-ne nastroje. Na górze w relacjach polsko-ukra-ińskich zapanował polityczny chłód. Rządząca Polską koalicja Zjednoczonej Prawicy oczekiwa-ła od prezydenta Zełenskiego przeprosin za mor-dowanie polskiej ludności na Wołyniu w 1943 r. Uważała, że Ukraińcy mają moralny dług za przyjęcie milionów Ukrainek uciekających przed wojną. Za spręt wojskowy i inną pomoc dla ukraińskiej armii. Oczekiwała, bo polska prawica preferuje romantyczny styl uprawiania polityki. Kreuje Polaków na naród szczególnie poszkodowa-ny w czasie ostatnich stuleci i oczekujący za to zadośćuczynienia. Stara się wstrząsnąć moral-nie rząd niemiecki, aby wymusić na nim kasę za zniszczenia wojenne. Podobny szantaż moralny próbuje stosować wobec prezydenta Zełenskiego.

Niewolnicy urn

Dlatego elitom PiS wydawało się, że Ukraińcy przeproszą za Wołyn. W rocznicę mordów pre-zydent Zełenski przyjechał na wspólną z pre-zydentem Dudą uroczystą mszę w Łucku. To, że wyszedł z niej w połowie uroczystości, bo miał ważną naradę wojenną, strona polska przełknęła. Trudniej było pogodzić się z brakiem oczekiwa-nych przeprosin.

W Polsce i Ukrainie powinny się odbyć w tym roku wybory parlamentarne. W Ukrainie mogą być przesunięte, bo ogłoszono tam stan wojenny. W Polsce jeszcze nie. Ale rządzące w obu pań-stwach ugrupowania wiedzą, że ich dalsza polityczna egzystencja zależy od nastrojów i poparcia wyborców. Muszą robić to, co da im poklask.

Spór o Wołyn obie strony wyciszyły. Do czasu nowej rocznicy. Ale trwającej już wojny o znie-sienie zakazu przewozu ukraińskich płodów rol-nych i handlu nimi już się nie da wyciszyć. Rząd polski wraz z rządami Węgier, Słowacji, Rumunii i Bułgarii wymógł ten zakaz na Komisji Europej-skiej. Choć obowiązuje on jedynie do 15 wrze-snia, to już wywołał wrogość prezydenta Zełen-skiego. Zamroził on swe kontakty z premierem Morawieckim i odradza je swoim urzędnikom. Uważa, że ma już tak dobre relacje z Waszyngto-nem, Brukselą, Berlinem, Londynem i Paryżem, że nie potrzebuje adwokatów z Polski.

Chwilowym sojusznikiem Zełenskiego, jak ćwierkają wróble w Warszawie, był prezydent Duda. Aby podtrzymać obopólną miłość z Ze-łenskim i dobre relacje z amerykańskimi sojusznikami zainteresowanymi pokojem na wschod-niej flance NATO, Duda wystął Zełenskiemu ro-mantyczny liścik miłosny. Informujący, że Duda nie ma nic wspólnego z blokadą ukraińskiej żywności, lansowaną przez polskiego premiera. I nadal kocha dzielnych Ukraińców i Wielkiego Brata z Waszyngtonu. Pokazał tym ukraińskie-mu prezydentowi, że może on zagrać na podzia-łach i personalnych niechęciach w Zjednoczo-nej Prawicy. Wzmocnił go w grze z rządzącymi w Warszawie.

O konflikcie interesów polskiego i ukraińskie-go rolnictwa wiedzieli wszyscy z branży. Bo ukraińskie płody rolne były, są i długo będą tańsze od polskich. Bo gleby i klimat są tam zdecydowanie lepsze. Bo siła robocza tańsza. Bo ekologiczne i zdrowotne ograniczenia są tam mniejsze.

Dodatkowo w Polsce dominują średnie gospo-darstwa indywidualne – stanowią około 90 proc. użytków rolnych. W Ukrainie około połowy

użytków zajmują wielkie majątki należące do rol-niczych oligarchów. Dwa największe posiadają po pół miliona hektarów, trzeci jedynie prawie 400 tys. ha. Dzisiejszy konflikt o sprzedaż ukra-ińskiej żywności do Polski, Unii Europejskiej i reszty świata to sprzeczność interesów gromady polskich chłopów i grupki ukraińskich magna-tów. Za I Rzeczpospolitą było na tych ziemiach odwrotnie.

Ponieważ los polityczny polskiej Zjednoczonej Prawicy zależy od głosów wiejskiego elektoratu, a kasa potrzebna ekipie Zełenskiego od hojności ukraińskiej magnaterii, to nowa wojna polsko-ukraińska wydaje się nieuchronna.

Bitwa w Brukseli

Rozegra się tym razem na politycznym polu. Ukraińcy wiedzą, jak złe relacje ma rząd Mora-wieckiego z Komisją Europejską. Ich wicemi-nistrowie już śmigają po Brukseli, gdzie suflują swoje racje reprezentantom europejskich rządów. Racje brzmiące racjonalnie, prounijnie, wyraża-jące humanitarną solidarność Europy z biedniej-szym światem.

Ukraińcy chcą zniesienia zakazu wwozu ukraińskiej żywności. Bo Ukraina sto-warzyszona gospodarczo z Unią zwyczajnie ma do tego prawo. Dodatkowo wwóz i sprzedaż ukraińskiej żywności może też ratować świat przed głodem, a przynajmniej obni-żyć ceny żywności, które wzrosły, bo Rosja zerwała umowę o wywóz ukraińskiej żywności drogą mor-ską. Zablokowała go, wy-wołała wyżkę cen i zarabia teraz na korzystnej sprze-daży swych płodów rol-nych. Jeśli Unia Europejska doprowadzi choć do obni-żek cen, to jej światowa reputacja i dobre samopo-

czucie brukselskiej biuro-kracji znacząco wzrosną.

Nic dziwnego, że Ukraińcy zyskali już po-parcie starej Unii, zwłaszcza Francji i Niemiec. Niemiecki minister rolnictwa Cem Özdemir za-deklarował, że polski zakaz już jest nie do utrzy-mania.

Dlatego rząd Morawieckiego znowu przegra w Brukseli. Bo teraz utrudnia walkę z głodem na globalnym Południu, łamie zasady wolności gospodarczej Unii Europejskiej, a nawet wpisuje się w kremlowską politykę walki z ukraińskim eksportem żywności. Tak to, broniąc interesów swych wyborców, premier Morawiecki wskoczy w ruskie onuce.

Wesela nie będzie

A jeszcze niedawno przyjaźń polsko-ukraińska pod antyrosyjską flagą miała być wieczna. Został scementowana umową na wzór traktatu francusko-niemieckiego. Taką ideę przedstawił prezy-dent Duda w czasie wizyty w Kijowie 22 maja 2022 r. Zauważył też, że dobrą datą podpisania takiego traktatu byłaby 160. rocznica wybuchu powstania styczniowego w 2023 r.

W kwietniu 2023 r. umowy nie było. Za to wiceminister spraw zagranicznych Piotr Waw-rzak rzekł mediom: „Potrzebny jest dokument, który nada nowy impuls, pozwoli usankcjono-wać umową międzynarodową szczególne relacje, przenieść je na wyższy poziom”.

O obiecywanym traktacie apelował wtedy Paweł Kowal z Koalicji Obywatelskiej: „Już powinien być projekt. Jego elementem powinien być plan szybkiego wejścia Ukrainy do NATO i Unii Eu-ropejskiej i nasze wsparcie, i ścisła współpraca gospodarcza. Mówi się, że naszą wadą narodową jest akcyjność. Obietnice muszą zostać zamienio-ne w zobowiązanie prawne, które potem musi zo-stać zrealizowane. Czy Polacy i Ukraińcy są gorsi od Włochów, Francuzów, Niemców, którzy mają swoje traktaty elizejski czy kwirynalski?”.

Jest sierpień 2023 r. Jeśli we wrześniu rząd Mo-rawieckiego przegra w Brukseli wojnę o eksport ukraińskiej żywności, to zapowiadane go traktatu o przyjaźni i współpracy długo nie zobaczymy. Wielokrotnie deklarowana miłość polsko-ukra-ińska zacznie usychać, a rozkwitać będą anty-ukraińskie i antypolskie banery na stadionach w obu państwach.

Perspektywicznie na tej wojnie stracą i Polska, i Ukraina. A wszystko z nadmiaru posiadanego żarcia i chęci kupienia chwilowego poparcia wy-borczego.

PIOTR GADZINOWSKI

Wołynia nie pomścimy

Granica odpowiedzial-ności za winy przodków została złamana.

Czy dzieci ponoszą odpowiedzialność za czy-ny swoich rodziców? Chodzi mi na przykład o te popełnione wtedy, kiedy owych dzieci jeszcze na świecie nie było. Oczywiście każdy prawnik powie, że nie. To byłby nonsens, aby wsadzać do więzienia syna za to, że w młodości ojciec był złodziejem.

Sytuacja nieco się zmienia, kiedy dochodzi do otwarcia testamentu i ten syn dziedziczy cały spadek po ojcu. A, wtedy tak! On bierze odpo-wiedzialność za majątek, czyli czyni ojca (złe lub dobre), które doprowadziły do jego powsta-nia. Jeżeli są długie, spadek może odrzucić i od-powiedzialności nie ponosi.

Takie prawnicze szwindle determinują myśle-nie na poziomie ogólnym, a powodują kardyna-lne błędy co do prawdy obiektywnej. A jest ona taka, że kolejne pokolenia są całkowicie odpo-wiedzialne i ponoszą skutki czynów pokoleń, których już nie ma.

Prawda ta, zasada, reguła lepiej jest odczu-walna w ujęciu historycznym. Jakoś nikt nie protestował, kiedy Kaczyński ogłosił, że obecne pokolenie Niemców ma nam zapłacić reparacje za zniszczenia poczynione przez ich dziadków. Może jest przedawnienie, ale nikt (z lewa, pra-wa, środka czy końca) nie był przeciwny co do zasady. Co więcej, mamy tu do czynienia z zu-pelnie kwestionowaną przez prawo zasadą odpo-wiedzialności zbiorowej. Nie chcemy pieniędzy z powodu, że nie lubimy Hitlera. Z powodu Hi-lera nie lubimy wszystkich Niemców.

W gruncie rzeczy zasada świata jest taka, że syn alkoholika ponosi odpowiedzialność za nałóg ojca – choćby w ten sposób, że jego or-ganizm jest gorzej przystosowany do życia, niż gdyby miał za ojca księdza abstynenta. Również

syn inteligenta jest w sposób pozytywny odpowie-dzialny za spadek kulturowy, jaki przekazał mu ojciec adwokat (i matka księgowa oczywiście też). Córka lumpa ponosi odpowiedzialność za to, że jej matka się kurwiła, bo nie będzie widziała niczego niestosownego w tym, że kurwić się będzie wnuczka tej matki (słowo „kurwić” ma tu szersze znaczenie – nie zaważać do cudzołóstwa).

Posługując się nauką historii w doczesnym a do-rażnym rozumowaniu, również bezwiednie stosuje-my zasadę odpowiedzialności za czyny przodków. Do Niemców mamy ograniczone zaufanie, bo wie-



my, że był wrzesień 1939 r., czyli obecni Niemcy stygmatyzowani są brakiem naszego zaufania z po-wodu działań dziadków.

Osobiście ponoszę odpowiedzialność za to, że 10 sierpnia 1961 r. jakiś Józef podarował jakiejś Ma-rii bukiet róż, ponieważ w rezultacie siedzę tu i piszę, a gdyby nie ten bukiet, nie byłoby to takie pewne.

Mechanizm odpowiedzialności za przeszłość, w której nie mieliśmy możliwości partycypować, jest zapewne bardziej złożony i wielowymiaro-wy, niż mi się zdaje. Cóż, często sami zauważamy, że nasze czyny sprzed 30 lat mają skutki w teraźniej-szości. Natomiast nie zauważamy, bo nie możemy, że fakty ongiś dokonane, nam nieznane, z którymi nie mieliśmy nic wspólnego, rzutują na to, co się obecnie z nami dzieje. Nieznajomość przyczyn in-terpretujemy jako bezprzyczynowość.

Nawet dogłębna znajomość historii nie pozwala nam prawidłowo wnioskować, co z czego wynika, choćby dlatego, że tej historii jest znacznie więcej niż czasu, jaki zarezerwowaliśmy sobie na swoje obecne życie.

Będąc dziennikarzem zasadniczo rozsądnym, utrzymywać zatem, że znalazłem wyjaśnienie nurtu-jącej zacne społeczeństwa od setek lat zagadki: dla-czego złe rzeczy przytrafiają się dobrym ludziom?

Ano dlatego, że tkwiąc w sieci zależności przy-czyn i skutków, nieszczęścia – np. skłonność do no-wotworów – wynikają z dalekiej przeszłości. Wtedy jakiś fragment DNA twojego prapraprojca został zdegenerowany w toksycznym środowisku, a orga-nizm stał się podatny na raka. Ty dostałeś to w pre-zencji.

Można powiedzieć, że to niesprawiedliwe, ale tyl-ko, gdy stosuje się paradygmat naszej sprawiedliwo-sci prawnej, która – jak wykazałem – głęboko zderza się z rzeczywistością. W rezultacie siły grawitacji spadamy ze schodów i łamiemy kręgosłup. Gra-witacja nie jest sprawiedliwa ani niesprawiedliwa. Ona po prostu jest. Pytanie, czy sprawiedliwość tak w ogóle istnieje. Może jest to tylko termin z zakresu bajkopisarstwa dogmatyki prawnej?

Ta, mam nadzieję, rozwijająca czytelnika refleksja pojawiła się w kontekście doniosłego przełomu, jakiego dokonało nasze społeczeństwo w ostatnich dwóch latach. Postępu, którego zupełnie i do końca nie rozumie.

Uczyniliśmy coś, co na zdrowy rozum nie powinno się zdarzyć. Wbrew obłudnej postawie Kościoła, bez udziału i większej pomocy rządu, Po-lacy przyjęli pod dachy dwa miliony Ukraińców, nie za-pominając jedno-cześnie o wołyń-skim ludobójstwie.

Złamaliśmy, jak nigdy dotychczas, zasadę odpo-wiedzialności dzieci za winy ich ojców. Możemy być z siebie dumni. Mimo że Dmitrij Miedwiediew nazwał nas imbecylami, wieszczono nam katastro-fę ekonomiczną, grając wbrew naszym oczywistym interesom, dokonaliśmy dziejowego mentalnego postępu.

Możemy sobie pogratulować. Sprawę Wołynia uznać zasadniczo za rozliczoną i zamkniętą. Piel-grzymkom żałobników czas wracać znad dołów śmierci w Dominopolu, Gucinie i Gurowie. Ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski może już spokojnie umierać na raka, na którego jest chory. Jego misja się wypełniła.

ROBERT JARUGA

W kołtunim gnieździe

Kto punktuje u Czarnka.

Chociaż do rozpoczęcia nowego roku akademickiego jeszcze kawał czasu, w polskim szkolnictwie wyższym sporo się dzieje. Minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek jednym ruchem ręki postanowił polaskotać piórkiem po odbycie części środowiska akademickiego. Zrobił to na tyle umiejętnie, że roześmiało się całe. Choć jest to śmiech przez łzy.

Ucz się, ucz, nauka to potęgę klucze

18 lipca 2023 r. Ministerstwo Edukacji i Nauki opublikowało świeżą punktację czasopism naukowych. Nowa punktacja jest tak kuriozalna, że marszczy się dupa. Niestety skutki tego posunięcia mogą być katastrofalne.

W czasach rządów PO-PSL za sprawą reform w nauce rozpoczętych przez ówczesną minister nauki i szkolnictwa wyższego Barbarę Kudrycką (PO) dorobek naukowy instytutów i wydziałów zaczął być oceniany w punktach, które naukowcy otrzymują za publikacje. System ten działa do dziś. I tak dzięki punktom uczelnie otrzymują pozycję w rankingach i zostają przyporządkowane do różnych kategorii badawczych (A+, A, B+ itd.). Tylko jednostki z kategorią co najmniej B+ w danej dyscyplinie mogą nadawać stopnie naukowe (doktora i doktora habilitowanego). Ministerstwo Edukacji i Nauki co kilka lat przeprowadza tzw. ewaluację, czyli ocenę polskich uczelni. Im więcej punktów za publikacje nabijają danej uczelni jej pracownicy, tym większa szansa na wysoką ocenę, prawo do nadawania wspomnianych uprawnień, a co za tym idzie – prestiż i status uczelni. No i oczywiście lukier na tym torcie, czyli finansowanie.

A jak będziesz miał dużo tych kluczy

Co istotne, nikt nie ocenia merytorycznej wartości pokładów publikacji naukowych, które co roku powstają w Polsce. Liczy się wyłącznie miejsce publikacji. Jeśli jest odpowiednio prestiżowe i przyjmuje do druku artykuł, musi on być dobry – tak zakłada ministerstwo. I cyk, do uczelni lecą punkty. Pierwotnie liczba punktów przyznawanych za publikację w danym czasopiśmie miała być oparta na możliwych do zweryfikowania kryteriach, w ten sposób ustalono, że będzie związana głównie z cytawalnością. Czasopisma wyceniano na 20, 40, 70, 100, 140 lub 200 punktów.

Jednak te niuanse szybko poszły się jebać. Pierwszych ruchów w tej materii dokonał wicepremier i minister nauki i edukacji Jarosław Gowin, który uznaniowo podniósł punktację czasopisma wydawanego przez IPN. W 2021 r. minister Czarnek dokonał autofellatio i podniósł punktację czasopismom, w których sam publikował.

W tym roku Czarnek w tańcu się już nie pierdolił i Ministerstwo Nauki dosypało punktów czasopismom pozornie z dupy wyjętym, w tym teologicznym. Dlaczego „pozornie”, wyjaśnię później, tymczasem zapraszam do lektury listy przebojów Czarnka.

To ci Czarnek nimi w łeb przypierdoli

Lista jest przeraźliwie długa, ale wydłubałam kilka pereł z tego gówna: „Studia z Prawa Wyznaniowego” (z 70 na 200 pkt.), „Person and the Challenges – The Journal of Theology, Education, Canon Law and Social Studies Inspired by Pope John Paul II” (ze 100 na 200 pkt.), „Fides, Ratio et Patria” – tytuł założony przez ojca Tadeusza Rydzka (z 70 na 140 pkt.), „Biuletyn Stowarzyszenia Absolwentów

i Przyjaciół Wydziału Prawa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego” (z 70 na 100 pkt.). Rekordowo zwiększono także punktację pisma „Przegląd Sejmowy” (200 pkt.) oraz „Cement Wapno Beton” (z 70 na 200 pkt.). Na listę wskoczył też kwartalnik „Consilium Iuridicum” wydawany przez Krajową Radę Sądownictwa, czyli w praktyce przejętą przez PiS neo-KRS. I długo by jeszcze wymienić...

Na Twitterze do sprawy odniósł się członek Komisji Ewaluacji Nauki profesor Emanuel Kulczycki. Jak stwierdził: „Inne kraje opanowały świat sztuczną inteligencją, a my wodą święconą i XVI-wiecznymi freskami w Licheniu”. Trudno się nie zgodzić, w końcu trzy polskie czasopisma teologiczne otrzymały po 200 pkt., czyli tyle samo co prestiżowe „Science” czy „Nature”. Nic, tylko się cieszyć, żeby echo po Licheniu niosło.

Historia magistra vitae est

Pozwolę liżnąć Czytelnikom odrobinę czarnkowizny i przytoczę przykład jednej z prac opublikowanych w „The Person and the Challenges. The Journal of Theology, Education, Canon Law and Social Studies Inspired by Pope John Paul II”, Vol. 10, No. 1 (2020): „Środki masowego przekazu jako kluczowa przestrzeń do głoszenia i obrony chrześcijańskiego personalizmu”. Autorem dzieła jest duszpasterz lekarzy archidiecezji krakowskiej, doktor habilitowany nauk humanistycznych, nauczyciel akademicki Uniwersytetu Papieskiego w Krakowie i publicysta książek Dariusz Oko. W telegraficznym skrócie: ten wybitnej klasy specjalista dowodzi, że Jerzy Urban był współczesnym Judaszem, książka Boniecki zyskał sławę i splendor tylko dzięki demonstracjom poparcia dla wokalisty zespołu Behemot Nergala, a sam „Tygodnik Powszechny” szerzy „homoiologię”. „TP” wspólnie z magazynami „Więź” i „Znak” wspierają konglomerat LGBTQ ufundowany przez (a jakże!) George’a Sorosa. Tygodnik „NIE” i „Gazeta Wyborcza” są kompletnie zdegenerowane, pełne kłamstw i manipulacji ukrytych za pięknymi słowami o miłości i równości. Dalej dowiadujemy się, które kraje zniknęły z mapy świata w wyniku pożarcia przez ideologię gender oraz jak wspaniałym remedium na wszystkie te bolączki jest postać samego autora. W bibliografii znajduje się kilka książek napisanych przez księdza Oko, parę losowych pozycji i artykuł M. Karnowskiego („Takie kompromitacje” „Tygodnika Powszechnego”, „Gazety Wyborczej” i innych wrogów Kościoła nie było od dawna” – i link do tekstu w portalu Wpolityce.pl).

Takie proszę Państwa wysryw homoiokwizytora, spisywane najpewniej na kiblu między beknieniem a pierdnięciem, ukazały się w wydawnictwie, które w momencie publikacji pracy miało przyznane punkty – nad którymi się dziś rozwodzę – w liczbie 70, a od kilku dni ma ich 200. A to wierzchołek tej góry lodowej lub, jak kto woli, kiszzonej w oparach absurdu kremówki.

Kto to jest Czarnek?

Ab equis ad asinos

Jak podkreśla w swoich mediach społecznościowych socjolog, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego Stanisław Krawczyk, problem polega na tym, że czasopisma teologiczne mają też przypisane inne dyscypliny. Cyt.: „W wypadku »Person and the Challenges...« są to między innymi nauki socjologiczne. To oznacza, że jako socjolog za publikację w tym piśmie przyniosę uczelni ten sam zysk co za artykuł w najważniejszych pismach światowych (np. »American Sociological Review«). I znacznie większy niż za artykuł w dowolnym prawdziwym polskim piśmie socjologicznym (np. »Studiach Socjologicznych« ocenionych na 70 pkt). Jeśli więc teraz na jakiejś uczelni socjologowie będą publikować w pismach teologicznych, to uzyskają przewagę nad osobami z mojego instytutu. I w przyszłości ta uczelnia dostanie od ministerstwa więcej pieniędzy. Chyba że moje władze zaczną premiować dokładnie takie samo postępowanie, a kadra naukowa też przerzuci się z pism socjologicznych na teologiczne”.

I dalej prof. Krawczyk: „Jeżeli ubiegamy się o stypendium ministra dla wybitnych młodych naukowców, lwia część oceny zależy od naszych publikacji. A tym przypisuje się tyle samo punktów, ile mają odnośne czasopisma na liście ministerialnej. Jeśli więc chcemy zwiększyć swoje szanse na stypendium, to znacznie lepiej – i niemal na pewno prościej – jest sztucznie publikować teksty socjologiczne (filozoficzne, historyczne, prawne itd.) w polskich pismach teologicznych niż w periodykach, które naprawdę są ważne dla naszej dziedziny wiedzy”.

Zaprobować jakikolwiek pomysł przedstawiony przez ministra edukacji Przemysława Czarnek to jakby stwierdzić, że literatura Holocaustu ciąży brakiem dystansu. Nie da się.

Groteskowy minister Czarnek skrupulatnie i z systematyczną godną szaleńca spuszcza polski system edukacji i nauki po brzytwie – prosto w kloakę obskurantyzmu.

Jakiś czas temu w podśmiejuchach wróźono, że jeszcze kilka lat rządów zjednoczonej prawicy, a dyplomy polskich uczelni będą wywoływały na świecie tylko śmiech. Słowo staje się ciałem na naszych oczach.

IDALIA DUBICKA

WIEŚCI Z KRUCHTY

✦ Bp Tadeusz Bronakowski, przewodniczący Zespołu KEP ds. Apostolstwa Trzeźwości i Osób Uzależnionych, jak zwykle w sierpniu zaapelował, aby Polacy nie pili. Bp Bronakowski zwrócił się do rządu i samorządów, aby „podjęli natychmiastowe działania naprawcze, pozwalające na ograniczenie tak wysokiego spożycia alkoholu. Przede wszystkim należy zakazać reklamy alkoholu i ograniczyć jego dostępność fizyczną i ekonomiczną”. Kościół jest potężną instytucją, ale bez przesady. Nikt nie będzie zadzierał z alkoholowym lobby. Poza tym owieczki chcą się napić. Swoją drogą, co jest bardziej destrukcyjne społecznie: aborcje czy tłumy uzależnionych? Ponoć w Polsce to co trzeci.

✦ Organizatorzy Światowych Dni Młodzieży w Lizbonie wezwali przyszłych uczestników tego wydarzenia, aby powstrzymali się od jedzenia mięsa. Konfederacja Rolników Portugalii nazwała zalecanie młodzieży zaprzestania konsumpcji mięsa absurdem. Czy jedzenie „ciała Chrystusa” to także jedzenie mięsa, od którego młodzież powinna się powstrzymać?

✦ Hiszpański biskup Demetrio Fernández uznał, że uczestniczący w Światowych Dniach Młodzieży „nie potrzebują jointów, przerwy ani alkoholu, aby przeżyć niezapomnianą radość”. Biskup Demetrio, jak każdy biskup, jest lekko odklejony od realiów w sprawie przeżywania radości przez młodzież. Światowe Dni Młodzieży – będzie pite i bzykane.

✦ Prezydent Andrzeja Duda wręczy Order Orła Białego niezwykłemu od lat ks. Franciszkowi Błażnickiemu, założycielowi Ruchu Światło-Życie, tzw. oaz dla młodzieży. Błażnickiemu ten order jak psu na budę, ale tym, którzy próbują reanimować jego legendę – a kręci się przy tym niejaki Ziobro – jak najbardziej się przyda. Zwłaszcza przed wyborami.

✦ Sejm dokonał wyboru patronów roku 2024. Wśród nich znaleźli się: rodzina Ulmów, arcybiskup Antoni Baraniak, Marek Hłasko, Romuald Traugott, Wincenty Witos, Kazimierz Wierzyński, Melchior Wańkowicz i Zygmunt Miłkowski. Czyli PiS i jego media do zrywania będą epatować publikę Ulmami, młodzież sama popieści się Hłaską. A tak na marginesie, chyba nikt nie wie, kto zaczął ów abekę Baraniak. My też nie i nie chciało nam się zaglądać w tej sprawie do Wikipedii.

✦ 28 lipca minęła 30. rocznica podpisania przez Polskę konkordatu z Watykanem. Podpisy pod umową złożyli minister spraw zagranicznych Krzysztof Skubiszewski i nuncjusz apostolski abp Józef Kowalczyk. Z kolei ratyfikacji konkordatu dokonali papież Jan Paweł II i prezydent Aleksander Kwaśniewski. Konkordat to jest coś, co Polska powinna wypowiedzieć, i mamy nadzieję, że kiedyś tak się stanie.

✦ Prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński spędził ostatnio czas w Wielkopolsce w miejscowości Połajewo. Wizytę Kaczyńskiego tydzień wcześniej zapowiedział w ogłoszeniach parafialnych miejscowy proboszcz, ks. Henryk Mucha. Za taką zapowiedź parafia dostała od rządu 660 tys. zł na remont kościoła. Okazuje się, że beneficjentem ostatniego naboru w Rządowym Programie Odbudowy Zabytków w głównej mierze jest Kościół katolicki. Dają proboszczom, ile wlezie, licząc, że taskawcy z ambon wesprą ich przy wyborach. I niestety wesprą.

✦ Obyła się konwencja Lewicy pod hasłem „Świeckie Państwo”. Wystąpili najbardziej rozpoznawalni politycy i polityczki lewicowej koalicji. Postulowano m.in. re-negocjacje konkordatu z możliwością jego wypowiedzenia; likwidację Funduszu Kościelnego; likwidację ulg i bonifikat dla Kościoła przy zakupie ziemi i nieruchomości; wycofanie religii ze szkół; likwidację etatów dla kapłanów w szpitalach i innych instytucjach państwowych etc. Niewiele mediów zainteresowało się konwencją Lewicy i cokolwiek o niej napisało. Nie będzie też szans w przyszłym parlamencie na takie zmiany, ale kropla niech drąży.

wybrał KLECHA



Już my wam damy...

Dlaczego ludzie sprzedają swoje głosy za kilkaset złotych miesięcznie?

Waleśa obiecywał Polakom po sto milionów dla każdego. Miały być za to, że naród składał się przez całe dziesięciolecia na swoją gospodarkę. Tę zaś trzeba było sprywatyzować, by polepszyć konkurencyjność oraz efektywność jej działania. Stu milionów nikt nie dostał, ale pod takimi właśnie szczytnymi wolnorynkowymi hasłami liberałów uchwalono w 1993 r. Program Powszechnej Prywatyzacji. Dzięki niemu Polacy mieli się poczuć właścicielami firm, a co za tym idzie, stać się bogaczami.

Milionerzy z niecałą stową

Każdy dorosły Polak za drobne 20 zeta mógł więc wykupić papier z napisem Powszechne Świadczenie Udziałowe i stać się kapitalistą pełną gębą. Nie tak od razu jednak. Wcześniej musiał przekształcić ten kwit drogą zapisu elektronicznego w krajowym Depozycie Papierów Wartościowych w papier wartościowy.

Było to w czasie, gdy rynek kapitałowy był w powijakach, a mało który Polak miał w ogóle konto w banku, nie wspominając już o rachunkach maklerskich. Nikt nie miał najmniejszego pojęcia, ile warte jest takie świadectwo. Wszyscy wiedzieli, że jak za coś zapłaciło się głównie pieniądze, to nie można liczyć, że się na tym zarobi. Kto mógł, sprzedawał świadectwo. Najczęściej za 100 zł. Dzięki czemu, zamiast stać się milionerem, statystyczny Polak zarobił na PPP 80 zł.

Sensem Programu Powszechnej Prywatyzacji było postawienie na nogi 512 przedsiębiorstw, firm dużych i dobrych, choć nie na tyle, by chcieli je kupić inwestorzy zagraniczni. Spółki te znalazły się w należących do sektora finansowego – czyli banksterów – Narodowych Funduszach Inwestycyjnych, które dzięki genialnemu zarządzaniu miały odmienić gospodarkę oblicze tej ziemi.

Efekt był ciekawy. W czasie trwania programu, czyli do 2005 r., wartość spółek skarbu państwa, które poszły do NFI, spadła o prawie dwie trzecie. Zwolniono 600 tys. pracujących w nich ludzi – prawie 75 proc. zatrudnionych. Z 512 firm ledwie ok. 10 wprowadzono na giełdę. 141 zaś – więcej niż co czwarta – splajtowało.

Każda firma zarządzająca dostawała co roku około 3,2 mln USD oraz bliżej nieokreślone wynagrodzenie w złotówkach. Koszty pokrywało Ministerstwo Skarbu z podatków obywateli. No i umowy o wynagrodzenie z firmami zarządzającymi nie uzależniały wysokości wynagrodzenia od wyników finansowych funduszy. Mimo takich przegięć w związku z PPP nikt nigdy nie stanął przed sądem czy innym trybunałem.

Dziesięcina dla finansjery

Dla międzynarodowych instytucji finansowych zatrudnionych w charakterze firm zarządzających majątkiem państwowym program był zaledwie przygrywką. Kilka

lat później miały załapać się na coś znacznie smakowitszego. Na obowiązkowe zarządzanie składkami emerytalnymi wszystkich pracujących. Konfitury nosić miały nazwę otwartych funduszy emerytalnych (OFE).

Polacy niepomni tego, że zamiast milionów PPP zarobił im na jeden obiad, w kit o emeryturze pod palmami uwierzyli.

Dzięki tej naiwności Jerzy Buzek został premierem i wprowadził zasadę, że po latach pracy będzie się miało emeryturę bardzo wysoką, bo comiesięczne składki będą dla każdego zarabiały krocie. Nie same jednak, ale dzięki najlepszym na świecie fachowcom od pomnażania pieniędzy. Fachowcy ci pracować mieli w OFE. Firmach prywatnych należących – co chyba nie dziwi – do sektora finansowego, czyli banków i ubezpieczycieli. Do nich przewlemano obligatoryjnie część składki na starość. Od 1999 r. przez kolejne pięć lat do tych prywatnych firm trafiało 7,3 proc. wynagrodzenia brutto niemal każdego pracownika.

Za zarządzanie tą kasą OFE pobierały opłaty. W latach 1999–2000 sięgały one ponad 10 proc. od całości otrzymywanych składek. Z czasem kolejne rządy zmniejszały te prowizje i za każdym razem podnosił się w mediach lament, że jest to atak na pieniądze Polaków. Było to wierutne kłamstwo. Od początku istnienia OFE z tytułu opłat i prowizji ściągnięto do swoich kieszeni z płacących na nie Polaków ponad 25 mld zł.

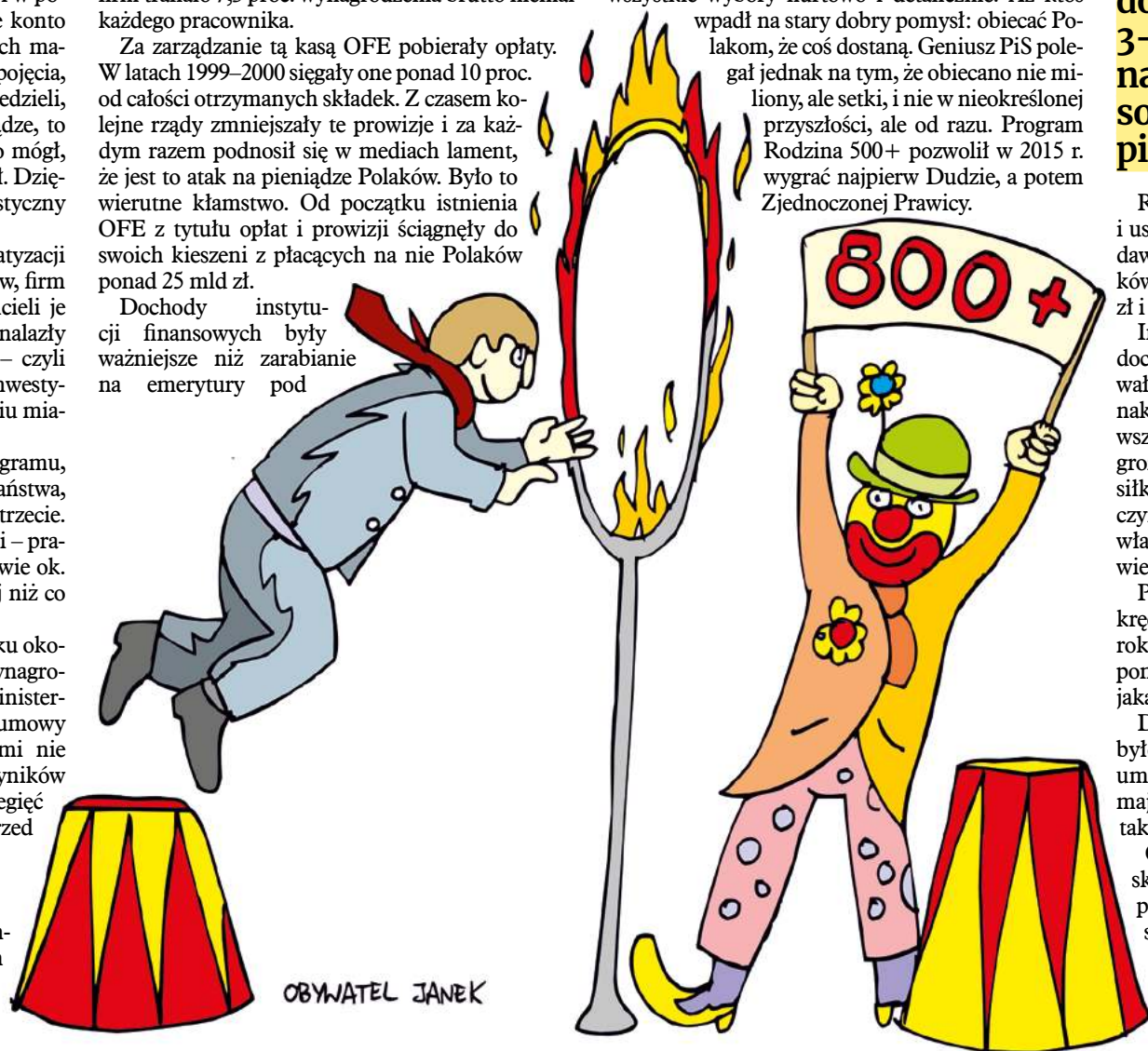
Dochody instytucji finansowych były ważniejsze niż zarabianie na emerytury pod

palmami. W roku 2008 w wyniku zawirowań na giełdach z OFE wyparowały ponad 24 mld zł. Ale tylko z tych pieniędzy, które odłożyli tam przyszli emeryci. Dochody powszechnych towarzystw emerytalnych pozostały nietknięte. Miesięczne pensje prezesów towarzystw emerytalnych sięgały w tym czasie 100 tys. zł.

OFE inwestowały w akcje, trochę w bankowe depozyty, a nade wszystko kupowały obligacje, które rząd musiał emitować, by kasy starczyło i na OFE, i na ZUS. Efektem tego był wyższy deficyt budżetowy i wyższy dług publiczny. W 2013 r. rząd Tuska powiedział „dość!”. I wprowadził ustawę odbierającą OFE wszystkie obligacje, a na dodatek pozwolił większości składkowiczów wynieść się z funduszy. Dług państwa wynoszący 153 mld zł został umorzony. Ponadto zmniejszono składkę do OFE do około 3 proc. oraz zarobek od niej z 3,5 do 1,75 proc. Funduszom nałożono jeszcze kilka obostrzeń i pozostawiono je przy życiu z 2,5 mln tych jeleni, których wciąż mamili reklamy o wczasach pod palmami. I którzy nie zauważyli, że zamiast stawać się milionerami, przez cały czas trwania OFE byli najregularniej w świecie okradani przez finansowych kombinatorów.

Pięćset plus krzyżyk wyborczy

Partia Kaczyńskiego po 2005 r. przegrywała wszystkie wybory hurtowo i detalicznie. Aż ktoś wpadł na stary dobry pomysł: obiecać Polakom, że coś dostaną. Geniusz PiS polegał jednak na tym, że obiecano nie miliony, ale setki, i nie w nieokreślonej przyszłości, ale od razu. Program Rodzina 500+ pozwolił w 2015 r. wygrać najpierw Dudzie, a potem Zjednoczonej Prawicy.



Pięć stów miały dostawać rodziny na pierwsze dziecko i na kolejne, jeśli były biedne. I od kwietnia 2016 r. do ludzi popłynął ten hajs.

Naród dziwował się, skąd nagle w budżecie objawiło się kilkanaście miliardów zł dla ludzi. Naród nie wiedział bowiem, że

kombinacja była oparta na ekonomicznym perpetuum mobile. Prostym i znanym od lat każdemu fachowcowi, oprócz tych z otoczenia Rostowskiego. Ekonomisci wiedzieli, że szmal ten trafi w większości do ludzi, którym się nie przelewa, i zaraz go puszczą na zakupy. A potem jeszcze raz i jeszcze raz. Dzięki temu kilkukrotnie obracaniu i VAT-owi, wynoszącemu 23 proc., wydany na 500+ szmal wraca do budżetu w całości już po 3–4 mies. Głodny pieniędzy naród sam finansował więc sobie comiesięczną wrzutkę pieniężną.

Rozkręcając przy okazji sprzedaż, produkcję i usługi, czyli napędzając gospodarkę, która z kolei dawała budżetowi jeszcze więcej szmalu z podatków. Koszt programu w 2016 r. przekroczył 17 mld zł i objął 3,8 mln dzieci z 2,78 mln rodzin.

Im bliżej było kolejnych wyborów, tym bardziej docierało do ludzi, że od 2019 r. 500+ będą dostawały rodziny na wszystkich nieletnich. Żeby jednak pokazać, że to nie czcza obietnica, dodatek na wszystkie dzieci wprowadzono przed wyborami, grożąc, że jak PiS przerznie, to opozycja się z zasiłku wycofa. Naród koncepcję kupił i partia Kaczyńskiego, a nawet Andrzej Duda wciąż dzierży władzę. Ba, pojawiły się transfery dla innej grupy wiekowej, czyli trzynastki i czternastki...

Potem były pandemia i wojna oraz inflacja rozkręcona przez łaknącą pieniądze władzę. W tym roku na program 500+ rząd zamierza wydać nieco ponad 40 mld zł. Jednak wartość tych złotych to jakaś połowa tego, co były warte w 2016 r.

Dlatego gdy padła propozycja, by zamiast 500 było 800+, to zdziwić się mogli tylko ci, co nie umieją liczyć. Miliardy, które od nowego roku mają pójść na małolatów, będą miały praktycznie taką samą wartość realną jak osiem lat wcześniej.

Czy ludzie nauczeni doświadczeniem złodziejskich działań niewidzialnej ręki rynku w przypadku PPP i OFE znów kupią obietnicę Kaczyńskiego dającą może mało, ale dającą? Chciałbym się mylić...

TADEUSZ JASIŃSKI

WIARA CZYNI CZUBA

1. Protestantcki biskup Stephen Ndichu wystąpił do sądu o delegalizację Stowarzyszenia Ateistów w Kenii. Stowarzyszenie, twierdzi Ndichu, narusza konstytucję, która „uznaje istnienie Boga”, a do tego ateusze demoralizują obywateli: „Stowarzyszenie, poprzez publiczne oświadczenia i wpisy w mediach społecznościowych wyraża niechęć do religii”, wywołując w ten sposób „efekt cynizmu”. „W Kenii nie da się rozdzielić władzy i religii” – mówi biskup, który jest jednocześnie przewodniczącym lokalnego parlamentu hrabstwa Kiambu. „Ludzie w rządzie są częścią Kościoła, a ludzie w Kościele są częścią rządu – tu nie ma granicy”. Kenia jest według konstytucji demokratyczną republiką. Zgodnie z ostatnim spisem powszechnym z 55 mln jej obywateli ponad 750 tys. to ateści.

2. Hinduski komisarz ds. informacji Uday Mahurkar wystosował pełen oburzenia list do Christophera Nolana, reżysera „Oppenheimera”. Chodzi o scenę, w której kochanka prosi fizyka, żeby przetłumaczył jej z sanskrytu fragment Bhagawadgity, brzmiący: „Stąłem się Śmiercią, niszczycielem światów”. Podczas jego odczytywania aktorka „w jednej ręce trzyma świętą księgę, a drugą, jak się zdaje, poprawia położenie ich narządów rodnych”. „Nie znamy motywacji i logiki tej niepotrzebnej sceny; ale jest to bezpośredni atak na przekonania religijne miliarda tolerancyjnych Hindusów, zakrawający na część szerszego spisku sił antyhinduskich”. Uday domaga się, aby Nolan „usunął tę scenę z filmu na całym świecie”, dodając złowieszczo, że jeśli reżyser „zdecyduje się zignorować ten apel, zostanie to uznane za celowy atak na cywilizację Indii”.

3. Katolicki portal informacyjny CNA odslania przed wiernymi tajemnicę lewej stopy Marii Magdaleny. Stopa jest srebrna, umieszczona na pozłacanej podstawie, bardzo elegancka, choć z wyraźnym płaskostopiem. W środku mają znajdować się autentyczne kości stopy, która – donosi CNA – „jako pierwsza weszła do pustego grobowca Chrystusa”. Relikwiarz powstał ponoć w XVI w. i zaraz potem za-

ginął wraz ze swoją beczenną zawartością. Został odnaleziony dopiero na początku milenium i z pompą umieszczony w bocznym ołtarzu bazyliki św. Jana Chrzciciela Florentczyków, tuż przed wejściem na most, którym przechodzi się do Watykanu. „Carlo Caffarra, tytularny kardynał bazyliki do swojej śmierci w 2017 r., poprowadził intronizację relikwii w jej nowym miejscu czci” – donosi z namaszczeniem CNA.

4. Christine Nogueira dos Reis Tonietto, brazylijska posłanka z Partii Liberalnej (jej honorowym przewodniczącym jest Jair Bolsonaro), zainicjowała akcję Żywego Różańca na Instagramie. Wzywa współobywateli do modlitwy „za Brazylię i za życie” wobec „bardzo poważnego zagrożenia legalizacją aborcji”. Zagrożenie płynie ze skargi konstytucyjnej, znanej jako „ADPF 442”, złożonej przez Partię Socjalizmu i Wolności (PSOL) do Federalnego Sądu Najwyższego. PSOL domaga się dekryminalizacji aborcji do 12. tygodnia ciąży – obecnie jest ona w Brazylii karana więzieniem. „Niebezpieczeństwo”, że w rządzonej przez lewicę kraju kobiety przestaną trafiać na trzy lata do pierdła za pozbycie się niechcianej ciąży, sprawia – zdaniem posłanki – iż „jest konieczne, abyśmy padli na kolana i wzniesli głos w modlitwie”.

5. Duncan Urbanek, pastor Baptystycznego Kościoła Czystego Słowa w Houston, przestrzega młodzieży przed pochopnym ożenkiem w dość zaskakujący sposób. „Jeśli zawarliście związek małżeński, to nawet jeśli się nie dogadujecie, nie znosicie się nawzajem albo wasz współmałżonek jest niewierny, sorry, ale to nie powód do rozwodu. Bo »co Bóg połączył, niech człowiek nie rozdziela«. Nawet jak on jest potępieńcem, nawet jak morduje ludzi siekierą, w oczach Boga nie możecie legalnie się z nim rozwieść”. Pastor Urbanek uspokajając dodaje, że w przypadku „bezbożnego siekierowego mordercy” albo na przykład męża, który molestuje dzieci, można od niego uciec, nawet „na drugi koniec świata”, ale formalny rozwód nie wchodzi w rachubę, bo „to byłoby cudzołóstwo”. Baptystyczny Bóg jest, jak widać, bardzo przywiązany do formalności.

6. Derek Martin, mobilny mechanik samochodowy z Oklahoma City, promował swoje usługi za pomocą Bozi. Nazwał swój warsztat Garaż Boga, wymyślił logo w formie krzyża z dwóch kluczy francuskich i przyozdobił go hasłem: „Mechanicy, w których można wierzyć”. Żeby nikt nie miał wątpliwości, że chodzi o prawdziwie bogobojnego fachowca, na swoim facebookowym profilu

Martin obficie cytował Biblię. Czas przeszły jest o tyle zasadny, że po wzięciu 350 dolarów od niejakej Carrie Wendlandt, zdesperowanej matki dwójki dzieci, Derek wraz ze swoim profilem znikł jak sen złoty. Chwilę później na FB pojawił się nowy profil Wiara na Kołach, reklamujący warsztat, który jest „posiadany przez wiarę, nastawiony na Boga”. Bóg, jak powszechnie wiadomo, nie zwraca zadatków niezadowolonym klientom.

7. W wojsku australijskim na 30 tys. wierzających żołnierzy przypada 312 kapelanów różnych wyznań. Najbardziej otoczeni duchową troską są wyznawcy czegoś, co nazywa się Chrześcijańskie Kościoły Australii (ACC) i jest zgromadzeniem zielonoświątkowym: na 13 zarejestrowanych żołnierzy przynajmniej się do tego zgromadzenia przypada 13 kapelanów. Poprzednie wcielenie nazywało się AOC – Zgromadzenia Boga – i ono nadal ma kapelanów w wojsku, mimo iż formalnie nie istnieje: ośmiu pastorów na 64 wyznawców. Ralph Estherby, kierujący podległą ACC instytucją o nazwie Kapelaństwo Australia, wyjaśnia, że nie ma „systemu kwotowego” i wybiera się „najlepszego kapłana na dane miejsce”. „Kiedy porozmawiacie z kapelanami, przekonacie się, że zostali dobrani tak, że są niesądzący i niesekciarscy” – obiecuje.

Polka to dobro narodowe należące do państwa. Państwo to mężczyźni. Polka, aby zasłużyć na swoją pozycję, musi zachować cnotę dla faceta, który zostanie ojcem jej dzieci. I to ma być naturalnie Polak, a nie odwieczny wróg! Pamiętacie wzorzec? Wanda wołała utopić się w Wiśle niż wyjść za niemieckiego króla, choć to on popełniłby megalomanię.

Co siódmy Polak rodzi się za granicą

Polek jest więcej niż Polaków? Jasne. Ale nie we wszystkich grupach wiekowych. Na 100 panien przypada aż 126 kawalerów. Czyli co piąty Polak nie znajdzie w Polsce żony. Co się dzieje z Polkami w wieku rozrodczym? Może dają w sztyję, jak był uprzejmy zdiagnozować Jarosław Kaczyński, ale równie chętnie wyjeżdżają za granicę, żeby rodzić dzieci obcym.

Zainteresowane postrzegają swoje związki jako inwestycję w lepsze życie. Ważne jest też dla nich, że za granicą nie będą musiały dowodzić, że nie są wielbłędami. Nikt nie będzie oczekiwać, że się spełnią, mieszając w garze.

– Jeszcze trochę, a młodzi Polacy będą mieć kłopoty ze znalezieniem partnerki w celu założenia rodziny – wieszczą eksperci.

Statystycznie co siódme dziecko urodzone przez Polkę po wejściu Polski do UE przyszło na świat za granicą. Chodzi o pół miliona bachorów. Te dane z urzędów stanu cywilnego mogą być niepełne, bo mieszkające za granicą rodaczki nie mają obowiązku rejestracji przychówku w Polsce.

W ostatnich latach co roku liczba ta zwiększa się o 60 tys. Tylko w Anglii i Walii Polki rodzą rokrocznie blisko 20 tys. dzieci, najwięcej wśród cudzoziemek. Pokonały Pakistanki i Rumunki. I nie jest już tak, że tatuś to Polak. Ze polskie pary chcą wyłudzić brytyjski socjał, aby potem wrócić na ojczyznę łono. Coraz częściej tatusiami są obcokrajowcy. Coraz rzadziej pociechy są uczzone wierszyka: „Kto ty jesteś? Polak mały...”.

Polka chce Anglika, Niemca, Włocha

Zdecydowana większość Polek (23 proc.) mówi „tak” Anglikom. Kolejny na liście (14 proc.) jest Niemiec. Za nim Włoch (7 proc.) W poprzednim roku wyszło za Niemca – w ojczyźnie pana młodego – 2350 rodaczek. Założmy, że tyle samo ślubów odbyło się w Polsce.

– Odbywa się cicha germanizacja – biją na alarm katolicy eksperci.

Na szczęście Polacy nie proszą o rękę niemieckich Frau. Nie chcą Angielek ani Włoszek. Bo zbyt wyemancypowane. Chcą rządzić, nawet w łóżku.

W poprzednim roku oddało rękę Polakom 1839 Ukrainek. Dużo? Nie! Przecież za Niemców wyszło co najmniej dwa razy tyle Polek, choć Niemca trzeba łowić w Niemczech, a Ukrainkę można ustrzelić na polskiej ulicy albo w barze obok.

Statystyka jest nieubłagana. Na 100 ślubów z obywatelem innego kraju aż 74 zawierają kobiety. I nie są to szare myszki z prowincji, które wpadły pod jego cadillaca i od tego zaczęła się miłość. Polki decydują się na zagranicznego męża świadomie. Szukają partnera za pomocą portali internetowych i biur matrymonialnych. Aż 32 proc. ma wyższe wykształcenie. Aż 86 proc. chce męża z wykształceniem wyższym lub co najmniej średnim.

Polki rodzą za granicą, rozwodzą się w Polsce

Jak zatrzymać ten proces? Co zrobić, żeby Polka wychodziła za Polaka i rodziła polskie dzieci? Jednym ze sposobów stosowanych przez PiS jest zohydzenie partnerów z zagranicy.

„Polskie kobiety były (w swoich nowych ojczyznach – przyp. B.D.) przedmiotem znęcania, maltretowania, prześladowania czy innych form opresji” – zapewnia minister Zbigniew Ziobro.

Niech wierzy, kto lubi, że angielska czy niemiecka policja ma zwyczaj stać po stronie damskich bokserów. Nie ruszy palcem w bucie, kiedy krajan wykorzystuje seksualnie pociechę urodzoną przez polską żonę.



W ciągu niemal dwóch dekad Polki urodziły za granicą pół miliona dzieci.

O Polkach, co wybrały Niemców

Media katolickie patrzą na sprawę szerzej niż minister. Skracając: jak sięga, to przysięga. Potem rach-ciach i ładujesz na ulicy. On ma kasę, znajomości, najlepszą kancelarię prawną na usługi, więc kończysz goła i bosa na ławce przed dworcem. Masz szczęście, jak wykrobiez na bilet do Polski.

Realia? Nie ma polskich badań dotyczących trwałości związków. Z tych, które są, niewiele wynika. We Francji współczynnik rozwodów jest w tej grupie nieco wyższy. W USA – niższy. W Kanadzie – niższy.

Większość problemów małżeństw mieszanych pokrywa się z problemami małżeństw jednonarodowych. Kiedy kończy się fascynacja erotyczna, zostają nadmiar obowiązków i nuda.

Najczęściej jest tak, że obie strony mają dość. Kiedy dochodzą do porozumienia, że czas się rozstać, o rozwód wnosi Polka. W Polsce. Dlatego, że nad Wisłą jest taniej. Prosi o rozwód bez orzekania o winie, bo to ułatwia procedurę. Obcokrajowiec w ogóle nie musi facytować się do sądu.

Myślicie: „No, to mamy pannę z odzysku – rozwiedziona Polka zostanie w Polsce i wyjdzie za Polaka, któremu urodzi polskie dzieci”. Zwykle po otrzymaniu orzeczenia rozwódka wraca do Anglii, Niemiec, Włoch. Do dzieci, nad którymi sprawuje opiekę naprzemienną razem z ich tatą.

Tata zostaje bankomatem

Bywa, że Polki w Polsce karzą partnerów za doznane od nich nieprzyjemności ograniczaniem kontaktu z dzieckiem. Bo dla niektórych pań dziecko jest ich własnością i basta. On? Wystarczy, że płaci alimenty.

W Polsce to łatwe do zrobienia, w Anglii czy Niemczech – nie. Nic, tylko zwać z dzieckiem do Polski.

Dzieci urodziły się w Niemczech i są obywatelkami Niemiec? W najlepszym razie mają podwójne niemiecko-polskie obywatelstwo? Chodzą do niemieckiego przedszkola, nawet przez sen krzyczą po niemiecku? Dla niektórych mam to nie jest żadna przeszkoda.

Konwencja genewska stawia sprawę jasno: dzieci muszą pozostać w kraju, w którym się wychowały, dopóki miejscowe sądy nie zdecydują o ich losie. Dorośli muszą tak się dogadać, żeby nie stała im się krzywda.

Jak dużo Polek porywa dzieci i wraca do polskiego raj? Statystyk nie ma. Zakładam, że co roku robi to kilka. Jest o nich bardzo głośno, bo każda z pań cieszy się osobistym zainteresowaniem Ministerstwa Sprawiedliwości. To jest trąbka, na której

PiS wygrywa najbardziej poruszające antyunijne melodie.

Kilka Polek krzyczy

Rzekome ofiary dzielą się swoimi historiami z dziennikarzami. Najlepszymi słuchaczami są redaktorzy TVPiS i pism katolickich. Uciekły do Polski, żeby uratować siebie i dziecko.

Mama nr 1: – Córeczka dotykała się w okolicy intymne, pokazywała zadowolenie, wpadała w trans i bardzo mocno się pociła.

„Dzieci czasem tak mają. Co ma z tym wspólnego tatuś?” – zapytacie.

– Na pewno wykorzystywał Naomi podczas mojej nieobecności – twierdzi kobieta.



Mama nr 2: – On pił. Tak, mąż nadużywał alkoholu i wyciągał ręce do bicia.

– Dowód?

– To nigdzie nie jest zaprotokołowane w papierach.

Mama nr 3. Porwała synka z Berlina do Krakowa, tutaj oprzytomniała i zawarła ugodę z mężem. Przez miesiąc rodzina zostanie w Polsce. Ona pozwoli mężowi na kontakty z synem. Jego prawnik wniesie o cofnięcie europejskiego nakazu aresztowania mamy wydanego przez sąd w Berlinie. Wróć do Niemiec, on wynajmie jej w pobliżu mieszkanie, będą naprzemiennie opiekować się Hansem.

Mama nr 4: – Susan ma 6 lat, jest w złym stanie psychicznym... Młodszy Neil znów moczy się w nocy. Ja też się stresuję. A jeśli mi nerwy puszcza, jak mamie w Rudniku?

Rudnik nad Sanem to argument często przywoływany w takich opowieściach. Tutaj urodziła się Magdalena. Wyszła za Niemca, za granicą urodziła dwoje dzieci. Przestało się układać, kiedy córka miała pięć lat, a syn trzy. Zabrała dzieci i wyjechała w rodzinne strony.

Niemiec chciał, żeby do niego wrócili. Przyjeżdżał na Podkarpacie. – Nie – powiedziała kobieta. Twierdziła, że był zboczuchem. W intymnych sytuacjach nakładał różowe szpilki i silikonowe wkładki na cucky. Dowody? Brak. Ale tak robił i to było wbrew Bogu. Poza tym żałował na zakupy. Dowód? Pościel przywozła z Polski.

W końcu on wniósł o rozwód i uprowadzenie dzieci. – Każdy by powiedział dość. Rachunki na bezowocne podróże do Polski przekroczyły 15 tys. zł – podniosła kancelaria, którą wynajął.

Niemieckie sądy pozbawiły Magdę praw rodzicielskich. Sąd Okręgowy w Rzeszowie „ustalił, że małoletni otwarcie i naturalnie deklarują chęć powrotu do Niemiec. Dzieci takie stanowisko uzasadniały przebywaniem tam ojca, za którym tęsknią, oraz innych ważnych dla nich osób. Biegli wskazali, że deklaracje te są autonomiczne, poparte autentycznymi emocjami”.

Ojciec przyjechał po dzieci w asyście policji, kurator sądowej i biegłego sądowego. Mama zamknęła się z drobiazgami w łazience. Posiekała dzieci nożem, potem zatopiła ostrze we własnej piersi. Dzieci wróciły do Niemiec w trumnach.

Ziobro czuwa

„Za czasów rządów PO polskie dzieci były taśmowo wydawane w ręce obcokrajowców” – pokrzykuje Ziobro. Czytaj: polskie sądy wypełniały zapisy konwencji haskiej i nakazywały powrót dzieci do miejsc stałego zamieszkania. Chyba że istniały przesłanki pozwalające stwierdzić, że byłoby to dla nich torturą. „Dziś znów Unia Europejska wyciąga swoje brudne łapska po polskie dzieci” – grzmi.

Na szczęście

Ministerstwo Sprawiedliwości czuwa. Jeśli sądy w myśl postanowień konwencji genewskiej nakazują wydanie dziecka do kraju, w którym się urodziło, pisze skargę kasacyjną do Sądu Najwyższego. W ostatnich dniach skierowało dwie.

Pierwsza dotyczy dziewczynki urodzonej w Niemczech. Mama przywozła ją do Polski w 2022 r. Sąd w Szczecinie zarządził natychmiastowo

wy powrót dziecka do domu. Mama odwołała się do Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Ten zdecydował tak samo.

Kolejna skarga dotyczy dziewczynki z Norwegii. Sąd Apelacyjny w Warszawie prawomocnie zdecydował o jej powrocie do domu.

Niedawno Bruksela wszczęła wobec Polski kolejną procedurę naruszeniową. Zarzuca rządowi PiS systematyczne i uporczywe lekceważenie orzeczeń sądowych nakazujących powrót dzieci uprowadzonych z innych państw członkowskich.

BOŻENA DUNAT

Pod opieką świętej zjawy

Zniewaga uczyniona patronowi Polski może nas drogo kosztować.

W modłach z okazji rocznicy uprowadzenia do Moskwy trumny orędownika sprawy polskiej nie wzięli udziału ani Kaczyński, ani Duda. Kto zatrzyma Grupę Wagnera?

Wysadzanie mostów, konanie w płonących czołgach, przelewanie cystern krwi, używanie pól trupami, setki miliardów dolarów na zbrojenia i wszystko psu na budę – wojna w Ukrainie trwa prawie półtora roku i nie widać jej końca. Powód: świat się zbroi, zamiast się modlić, co międzynarodowej społeczności regularnie wypomina Polska.

I nic dziwnego, albowiem nie kto inny jak Polak może krwawą konfrontację zakończyć w czasie krótszym od jednej zdrowaśki.

Szwedzkie chucie

Mowa o Andrzeju Boboli, jezuitcie zaszlachtowanym z powodów religijnych w 1657 r. i nieco później uznanym przez Kościół katolicki za męczennika oraz świętego.

Niewierni wrzasną, że nieżyjący od 366 lat męczennik nie może wpływać na losy świata istotniej od Jarosława Kaczyńskiego, męża żywego i na dodatek w znakomitej formie fizycznej i intelektualnej. Lecz ateusze zblądzą i tym razem, bowiem Bobola po swym zgonie wielokrotnie dowiódł, że potencję ma ogromną, przy czym wszystkie interwencje miały konotacje militarne i propolskie. Po raz pierwszy jezuita dał się poznać jako obrońca ojczyzny w 1702 r. w Pińsku. Miastu groziło niebezpieczeństwo ze strony niewierzących w dziewictwo Maryi Szwedów. Sytuacja wyglądała na beznadziejną, ale gdy rozpacz ogarnęła całą populację, zakonnik z Kolegium Jezuitów ujrzał w swej celi mężczyznę, który przemówił następującymi słowami: „Jestem wasz współbrat Andrzej Bobola, męczennik. Jak odnajdziecie moją trumnę i oddzielicie od innych, ja was uratuję przed Szwedami”. Natychmiast zarządzone zakrojone na szeroką skalę poszukiwania, ale znalezienie trumny zawierającej Bobolę to nie kaszka z mleczkiem. Czas płynął, protestanci byli u bram, katolicki wdzięk pasy cnoty, zamykały je na kłódkę i klucze wyrzucały do rzeki... Wreszcie po kilku dniach rozwarła trumny znajdującej się w podziemiach pińskiego kościoła zakończyła się okrzykiem „Eureka!”. Wykrzyknienie radości było w pełni zasadne, gdyż w trumnie znajdowało się ciało całkiem przystojnego mężczyzny, w ogóle nienoszące znamion rozkładu, więc od razu było jasne, że lokatorem jest Andrzej Bobola. Wypełniono instrukcję świętego, umieszczono trumnę w osobnym i godnym miejscu, co natychmiast wywołało skutki militarne: Szwedzi nie weszli do miasta i poszli gwałcić gdzie indziej. Źródła milczą na temat dalszego losu pińszanek, które po zabezpieczeniu się przed chuciami Skandynawów i przedwczesnym wywaleniu kluczy po dokonaniu się cudu nie mogły wypełniać obowiązków małżeńskich w zgodzie z prawem naturalnym. Można jednakże domniemywać, że Bobola zapewnił katolikom dostęp nie tylko do niewieścich ust, uszu i oczodołów, ale także do otworu umożliwiającego pożyte niewywołujące protestów Jezusa i jego ucznia Jędraszewskiego.

Posładki ministrantów

Przez kolejne 117 lat Bobola leżał sobie w trumnie, nie dając znaku życia. Ale tylko po to, by swym come backiem poruszyć bryłę świata, a nade wszystko jej najprzedszyjczy kawałek w postaci Polski. Oto ukazał się ojcu Alojzemu Korzeniewskiemu, dominikaninowi, który nie pogodził się z utratą niepodległości przez Rzeczpospolitą i głosił kazania budzące w narodzie ducha patriotycznego. Rosjanie w odwecie ukarali go zakazem opuszczania miejsca zakwaterowania oraz zabronili mu jakichkolwiek kontaktów z ludnością. Zakonnik z powodu niemożności wysłuchiwania spowiedzi młodych niewiast oraz doświadczania ministranckich posładków na kolanach popadł w głęboką depresję. Ponie-

POLACY ZASŁUGUJĄ NA WIĘCEJ!



wał w tamtych czasach nie znano antydepresantów, dobił bicz, by się porządnie wychłostać. I właśnie wtedy stanął przed nim tajemniczy osobnik z bujnym zarostem. „Jestem Andrzej Bobola, jezuita, męczennik. Powiedz Polakom, że gdy skończy się wielka wojna, znowu będą na mapach świata. I nadejdą czasy, że będą patronem Polski. Gdy będę jej głównym patronem, Polska będzie pełna rozkwitu” – oświadczył przybysz. Jak wiadomo, proroctwo wnet się spełniło, ale tylko po części – po I wojnie Polska wróciła na mapy, lecz daleko jej było do rozkwitu, gdyż postulat uczynienia z Boboli pierwszorzędного patrona ojczyzny nie został spełniony.

Kłęska bolszewii

Po raz kolejny jezuita przypomniał o sobie, współpracując przy realizacji projektu o nazwie „cud nad Wisłą”. Jak wiadomo, czerwona zaraza w 1920 r. dotarła tam, gdzie kiedyś stało ZOMO, a dziś tęczo- wa zaraza, czyli w okolicy Warszawy. Sytuacja była poważna, więc biskupi podczas Konferencji Episkopatu w Częstochowie podjęli uchwałę następującej treści: „Andrzeju Bobola, jeśli uratujesz Polskę przed bolszewikami, w podzięce podejmiemy sta-

rania, abyś został ogłoszony świętym”. Następnie odprowadzono nowennę w kościołach, wnosząc o uratowanie Polski i świata. W ostatnim dniu nowenny dokonał się cud nad Wisłą. Na pewno była to robota Maryi, ale to, co działo się później, świadczy o tym, że inni mieszkańcy nieba też byli czynni. Że biskupi skrobnęli do papieża, wnioskując o szybką kanonizację jezuitę, co stało się ciałem, o niczym nie świadczy, ale że Józef Piłsudski, protestant tak jak obiegający Pińsk Szwedzi, dołączył do wniosku prośbę, aby Bobola został patronem Polski, oznacza, że kłęska bolszewii to ledwie pierwszy z serii cudów i inspiratorem części z nich był nieżyjący od kilku stuleci zakonnik.

Zwłaszcza że to nie wszystko – gdy kacapy dowiedziały się, że Polacy zwycięstwo nad nimi przypisują Boboli, skradły trumnę z jego ciałem i zawlokły ją do Moskwy. Tam ciskano truchłem o posadzkę, ale z grubsza trzymało się kupy.

W szponach komuchów

Po tak traumatycznych przeżyciach święty musiał nieco odsapnąć. Na scenę powrócił dopiero w 1983 r., kiedy to ukazał się księdzu Józefowi Ni-

nikowi. Bobola nie odezwał się ani słowem i wielebny sądził, że ma do czynienia ze złodziejem, ale milicji nie wezwał z powodów ideologicznych. Nieme objawienia powtarzały się co noc przez cztery lata, wreszcie ks. Niżnik zdobył się na odwagę i zapytał: „Kim jesteś? Czego chcesz?”.

„Jestem św. Andrzej Bobola, zacznijcie mnie czcić, uczynicie mnie patronem Polski!” – brzmiała odpowiedź. Jan Paweł II, największy z rodu Słowian, w roku 2002 ustanowił Bobolę patronem Polski. Niestety – drugorzędnym. To w hierarchii patronów miejsce zaszczytne, szczególnie że konkurencji są nie od macochy, tytuł patronów pierwszorzędnych dzierżą bowiem Matka Boska oraz święci Wojciech i Stanisław. Przegrać z takim towarzyszem to zaszczyt, ale do spełnienia wymogu określonego w objawieniu nie doszło i Polska zamiast kwitnąć, znalazła się w szponach lumpenliberałów i komuchów.

Wygnanie Tuska

III RP nie trwała wiecznie tylko dlatego, że Bobola w 2015 r. ponownie okazał troskę o los ojczyzny. Jego czciciele wznosili wówczas modły o pomyślność w wyborach i odsunięcie od władzy antypolskiej i antykatolickiej Platformy Obywatelskiej.

Zakonnik spełnił życzenie suwerena: najpierw Duda został prezydentem, a potem Kaczyński naczelnikiem państwa polskiego. Kilka lat później ponownie wysłuchał modlitw i władza nad Polską pozostała w rękach ludzi krystalicznie czystych i na wskroś prawych i sprawiedliwych.

„Wygrali znowu, ale nie podziękowali św. Andrzejowi. Nie wspomnieli o nim po wyborach. Znowu ogołocili go z chwały, którą jemu się należała. I to jest dramat zwycięzców, który nie rokuje niczego dobrego na przyszłość” – ostrzega ks. Niżnik. Przypominając, że aby przeciwdziałać temu, co działo się na polsko-białoruskiej granicy, „kiedy to dziennie było ponad 15 tys. wtargnięć na terytorium Polski, odprowadzono nowennę, poproszono o pomoc świętego Andrzeja Bobolę i z badań wynika, iż ta liczba szybko dziesięciokrotnie się zmniejszyła”.

Niżnik podkreśla, iż Bobola jest orędownikiem sprawy polskiej nie tylko na lokalnym podwórku, ale także na arenie światowej. Ergo: jest w stanie wygonić Tuska do Berlina, ale także dobrać się do dupy Putina. Warunek: musi być czczony stosownie do zasług. Tymczasem w narodowej modlitwie za Polskę zorganizowanej z okazji 101. rocznicy uprowadzenia trumny świętego przez bolszewików nie wzięli udziału ani Jarosław Kaczyński, ani Andrzej Duda. Przybyli jedynie politycy PiS-u w randze wiceministrów, i to w prywatnym charakterze, co w niebie mogło być odczytane jako zniewaga. Jeśli tak się stało, szanse Grupy Wagnera na udaną wycieczkę poważnie wzrosły.

MACIEJ MIKOŁAJCZYK

Młódź, chuć i masoni

Warto rozmawiać o Światowych Dniach Młodzieży.

Młodzi uczestniczący w Światowych Dniach Młodzieży „nie potrzebują jointów, prezerwatyw ani alkoholu, aby przeżyć niezapomnianą radość” – twierdzi bepe Demetrio Fernández z hiszpańskiej diecezji Córdoba.

Jan Pospieszalski, muzyk grający dziennikarza, przekonuje, że jest wręcz odwrotnie: każdy, kto weźmie udział w tegorocznych ŚDM w Lizbonie, wyjedzie z nich przeziębiony marksizmem, genderyzmem, ekologizmem, masonerią i ONZ. Jointy będą palić na śniadanie, a po alkoholu bzykać się w gumie. Tak będzie, nie zmyśla.

Pospieszalski zniknął nam trochę z radarów, ale nie przepadł całkowicie i dalej dostarcza rozrywki. Zrobiło się o nim cicho po tym, jak wyleciał z TVP. A wyleciał, bo w swoim programie „Warto rozmawiać” krytykował PiS za rządową strategię walki z pandemią. Redaktor promował antyszczepionkowców i narrację negującą pandemię, a to było za wiele nawet jak na TVP. Stracił swoje poletko w ogólnopolskim medium, ale dzięki temu

stał się męczennikiem covidowej sprawy i zyskał fanów wśród wielbicieli teorii spiskowych. Gdy ze stanowiska prezesa rządowej telewizji odszedł Jacek Kurski, fani Pospieszalskiego petycją namawiali nowego prezesa, by przywrócił „Warto rozmawiać” na antenę. „W swoim programie redaktor Pospieszalski »ośmielił się« zadać przedstawicielowi rządu szereg niewygodnych pytań dotyczących poczynania władzy, giążącej się w obłędzie kolejnych rozporządzeń i pisanych na kolanie ustaw w walce z tzw. pandemią koronawirusa” – pisali. Na antenę nie wrócił, petycja poszła do kosza. Sam redaktor podtrzymuje swoją wersję i czuje się prorokiem odrzuconym we własnym kraju. Zresztą, wyobraźcie sobie, że ktoś jest tak zaczadzoną fanatykiem, że wyrzucają go nawet z TVPIS! Brzm jak fabuła *political fiction*.

Dawni koledzy nie pozwolili jednak Pospieszalskiemu umrzeć z głodu, może jeszcze się przyda. Redaktoruje sobie teraz na portalu Afirmacja.info, na który kasę daje Zbigniew Ziobro ze sławetnego Funduszu Sprawiedliwości. Tego funduszu, który – jak czytamy na oficjalnej stronie – „rozporządza

pieniędzmi, które sądy zasądza od sprawców przestępstw. Te środki – pochodzące z kieszeni ludzi, którzy wyrządzili krzywdę innym – mają czynić dobro. Mają wspomagać pokrzywdzonych wskutek przestępstw i w wypadkach. Mają służyć ich zapobieganiu. Mają ratować ludzi”. Zamiast pomagać ofiarom, Ziobro woli wypierdolić hajs na portalik Pospieszalskiego. Żeby zachować pozory, w deklaracji ideowej napisano, że celem nowego medium Pospieszalskiego jest „afirmacja wartości rodzinnych, a z drugiej strony pomoc w rozpoznawaniu i uświadamianiu zagrożeń, z którymi rodzina dziś się mierzy. W sposób szczególny odnosi się to do zapewnienia rodzinie bezpieczeństwa w kontekście przeciwdziałania przyczynom przestępczości i pomocy pokrzywdzonym”. Widocznie Pospieszalski lubi brać pieniądze pochodzące od przestępców.

Od roku były prowadzący „Warto rozmawiać” ma – po pandemii – kolejnego zajoba. To tegoroczne Światowe Dni Młodzieży, które skończą się w niedzielę 6 sierpnia mszą z udziałem papieża. Pospieszalski uważa, że skończy się nie w niedzielę, lecz tragedią. Zamiast saczyć w młode umysły zdrową katolicką naukę, najnowsza edycja ma za zadanie zrobić z małolatów neomarksistowskie zombie. Globaliści uczynili z inicjatywy Jana Pawła II imprezę masońską, która z Kościołem kat. nie ma nic

Lot nad dziewczęcym gniazdem

Skrobać, nie skrobać – odwieczne pytanie.

Antyaborcyjna fundacja Grupa Proelio wystosowała do przedstawicieli rządu i ministerstwa zdrowia apel o nieposzerzanie przesłanek aborcyjnych o zagrożenie zdrowia psychicznego kobiety. Choć o samej fundacji pies z kulawą nogą nie słyszał, wniosek zamieszczony w internecie w krótkim czasie podpisało blisko 1500 osób. Fundacja w swojej pokrętej argumentacji powołuje się na szeroko krytykowany artykuł naukowy prof. Priscilli Coleman, chętnie cytowany podczas niedawnej batalii o ograniczenie dostępu do aborcji w Stanach Zjednoczonych. Wokół pisma, które opublikowało wspomniany artykuł, oraz samej autorki w ostatnich dniach wybuchł międzynarodowy skandal, który pokazał, jak głęboko sięgają macki prawniczo-oszołomstwa i na jak chybliwych podstawach posadowiona jest nauka.

Kiedy za sprawą reportażu stacji TVN wyszła na jaw spektakularna akcja polskiej policji, która z ramienia opiekuńczego państwa pod płaszczykiem troski o zdrowie psychiczne obywatelki postanowiła (dosłownie) zajrzeć w dupę kobiecie po samodzielną aborcji farmakologicznej, doszło do kolejnego starcia przeciwników i zwolenników skrobaków. W nudnej do wyrzycania dyskusji przytaczano te same frazesy, wzburzony lud zapowiedział marsze poparcia w obronie praw kobiet, partyjne i okołoprawicowe trolle rzuciły się wyjaśniać, dlaczego więzienne przeszukiwanie roniącej kobiety w szpitalu było słusznym działaniem – można rzec: nuda, panie, nuda.

Oczywiście jak na komendę poderwało się katolickie lobby antyaborcyjne. W prawicowej prasie jak grzyby po radioaktywnym deszczu zaczęły pojawiać się publikacje, w których podkreślano, że aborcja ma destrukcyjny wpływ na kobiecą psychikę i hasło lewackich środowisk, że „aborcja jest OK”, można rozbić o kant kibla. Szansę na pięć minut sławy i ukrecenie lodów wywęszyła również fundacja Grupa Proelio.

Stanąc do walki

Organizacja działa na rzecz ochrony życia od poczęcia do naturalnej śmierci, małżeństwa, rodziny, dzieci i wolności sumienia. Fundacja Grupa Proelio została powołana przez małżeństwo Magdalena Korzekwa-Kaliszuk i Zbigniewa Kaliszuka, parę fundamentalistycznych katolików.

Magdalena Korzekwa-Kaliszuk jest prawniczką, psycholożką (sic!) oraz autorką 13 książek i ponad setki publikacji w tak znamienitych tytułach jak: „Homo Dei”, „Mały Gość Niedzielny”, „Nasz Dziennik” czy „Rodzina Radia Maryja”. Od czerwca 2013 r. przez blisko pięć lat kierowała polskim oddziałem organizacji CitizenGO – antyaborcyjnego ruchu powiązanego z rosyjskimi oligarchami, amerykańską alt-prawicą i europejskimi prawicowymi populistami. CitizenGO blisko współpracuje również z Ordo Iuris. Korzekwa-Kaliszuk dała się poznać szerszej niż prawicowa publiczności, kiedy komentując w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej” orzeczenie wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji, stwierdziła, że choć więzienie dla matki za aborcję budzi jej sprzeciw, należałoby się zastanowić nad inną karą. Niestety, nie zdradziła jaką.

Zbigniew Kaliszuk jest publicystą i autorem takich książek jak: „Katolik frajerem?”, „Katolik

ofiara?”, „Katolik talibem?”, opublikowanych pod patronatem katolickiego wydawnictwa Fronda. Jest również twórcą internetowego kalkulatora, który weryfikuje, czy dany poseł głosował zgodnie z nauczaniem Kościoła. Katolicki Latarnik Wyboryczy, bo tak nazywa się strona, na której można owo narzędzie znaleźć, to zestawienie kluczowych głosowań z ostatnich kadencji sejmiku dotyczących aborcji, in vitro i praw społeczności LGBT.

Jak piszą szefowie fundacji Grupa Proelio: „Słowo *proelio* w języku łacińskim oznacza »walka« i pojawia się m.in. w egzorcyzmie do św. Michała Archanioła – *defende nos in proelio* (»wspomagaj nas w walce«)”.

Zespół przypadków

Kilka dni temu na stronie fundacji, a także organizacji CitizenGO pojawiła się petycja skierowana do prezydenta RP, premiera, ministra zdrowia i powołanego przez niego zespołu ds. wytycznych związanych z terminacją ciąży. Wspomniany zespół, jak zapowiedział Adam Niedzielski, ma zająć się bardziej szczegółowymi wytycznymi co do postępowania w przypadkach kwalifikacji do usunięcia płodu. To odpowiedź na tragiczną śmierć ciężarnej kobiety z Nowego Targu, której nie udzielono pomocy medycznej na czas, w wyniku czego zmarła na sepsę. Jak zaznaczył minister: „W Polsce każda kobieta w przypadku zagrożenia zdrowia bądź życia ma prawo do terminacji ciąży, czyli wykonania zabiegu aborcji”. Dodał, że „definicja zdrowia odnosi się nie tylko do zdrowia fizycznego, ale również psychicznego”. To podziało na płodocentrystów jak płachta na byka.

„Do 2020 r. poprzez zagrożenie dla zdrowia fizycznego. Po wyroku Trybunału Konstytucyjnego, który zakazał aborcji eugenicznych, środowiska aborcyjne, szukając furtki, która pozwalałaby na dalsze zabijanie dzieci w polskich szpitalach na szeroką skalę, zaczęły twierdzić, że ten przepis obejmuje także »zdrowie psychiczne«. Niestety zielone światło do takiej interpretacji tej przesłanki dał Jarosław Kaczyński, mówiąc w wywiadzie dla »Wprost« w 2021 r.: »Wśród możliwości dopuszczania aborcji jest furtka w postaci zdrowia psychicznego. Dla jednych jest to być może nie do przyjęcia, ale można z tego skorzystać«. Ostatnio taką wykładnię przepisów prawa promowali premier Mateusz Morawiecki, minister zdrowia Adam Niedzielski oraz rzecznik praw pacjenta Bartłomiej Kmiec. [...] Zdrowie psychiczne jest bardzo ważnym elementem zdrowia. Nie chcemy go lekceważyć. Jednocześnie jest kryterium bardzo trudno mierzalnym. Przyzwyczajanie na aborcję ze względu na taką przesłankę daje ogromne pole do nadużyć” – czytamy w petycji, a dalej: „Negatywny wpływ od-mowy aborcji na psychikę kobiet jest zjawiskiem bardzo wątpliwym [...]”. Wiele badań pokazuje, że to zabicie dziecka długofalowo ma wpływ na psychikę kobiet. Najbardziej obszerna metaanaliza poświęcona temu zagadnieniu – przegląd 22 badań z lat 1995–2009 autorstwa psycholog prof. Priscilli

Coleman – została zamieszczona w 2011 r. w »British Journal of Psychiatry«.

Tak się składa, że wokół »British Journal of Psychiatry« i samej pani Coleman rozszedł się w ostatnim czasie gęsty smród.

W trosce o kobiety

Priscilla Kari Coleman jest emerytowaną profesorką, która pracowała na Wydziale Rozwoju Człowieka i Studiów nad Rodziną na Bowling Green State University w Ohio. Jest autorką i współautorką wielu – delikatnie mówiąc – mało wiarygodnych prac naukowych, w których twierdzi, że znaleziono korelację statystyczną lub związek przyczynowy między aborcją a uszczerbkiem na zdrowiu psychicznym kobiet. Coleman współpracowała i publikowała między innymi z Davidem Reardonem, znaczącym antyaborcyjnym aktywistą, niestrudżonym głosi-cielem nowiny o „syndromie proabor-



cyjnym” (zaburzeniu, którego istnieniu przeczy Amerykańskie Stowarzyszenie Psychiatryczne). Co ciekawe, doktorat Reardona z etyki biomedycznej pochodzi z Pacific Western University, korespondencyjny uczelnia, która nie jest akredytowana w Departamencie Edukacji.

Artykuł Coleman, który ukazał się na łamach »British Journal of Psychiatry« w 2011 r., był cytowany ponad 300 razy, w tym jako dowód w przełomowej sprawie Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych z czerwca 2022 r., który zlikwidował w USA konstytucyjne prawo do aborcji. „Badania” Coleman zostały również przytoczone w kwietniu 2023 r. w orzeczeniu Sądu Okręgowego Stanów

Zjednoczonych w celu unieważnienia zezwolenia Agencji ds. Żywności i Leków na stosowanie mifepristonu, leku używanego w aborcji farmakologicznej.

Już w 2022 r. grupa 16 badaczy kierowana przez Chelsea Polis, specjalistkę z zakresu epidemiologii w Centrum Badań Biomedycznych w Radzie Populacji, dokonując analizy artykułu, wskazała na liczne błędy metodologiczne, które unieważniają jego wnioski. Naukowcy nie byli w stanie odtworzyć wyników badań Coleman pomimo korekty z tego samego zestawu danych. Jej odkrycia opisali jako „logicznie niespójne” i „znacząco zawyżone”. Polis skierowała do »British Journal of Psychiatry« wniosek o natychmiastowe usunięcie artykułu, argumentując, że spełnia wszystkie kryteria do wycofania rekomendowane przez Komitet ds. Etyki i Publikacji (COPE).

Okazało się, że Coleman – jak ciąża – tak łatwo usunąć się nie da. »British Journal of Psychiatry« odmówiło wycofania artykułu.

Awantura w burdelu

W lipcu 2023 r. »The British Medical Journal« opublikował wyniki dziennikarskiego śledztwa, w którym ujawnił, co stało za decyzją o niewycofaniu artykułu Coleman. Co ciekawe, bynajmniej nie poszło o pseudonaukowy bełkot. »British Journal of Psychiatry« i jego wydawca Royal College of Psychiatrists odmówiło wycofania kontrowersyjnego tekstu tylko i wyłącznie z obawy przed pozwem, którym w takim przypadku zagrozili prawnicy Coleman. Royal College of Psychiatrists położyło łachę na rzetelności badań i narobiło w gacie ze strachu przed pozwem wniesionym w Ameryce Północnej. Wiarygodność nauki poszła się jebać w imię świętego spokoju.

Potwierdził to Alexander Tsai, profesor nadzwyczajny psychiatrii w Harvard Medical School, i Aileen O'Brien, lektor psychiatrii i edukacji na St George's University of London, którzy należeli do zespołu zwanego przez czasopismo w celu zbierania artykułu Coleman i zalecili jego usunięcie. Obydwójce zrezygnowali z członkostwa w zarządzie »British Journal of Psychiatry« w maju bieżącego roku, kiedy chuj strzelił rzetelność pisma. Tsai w rozmowie z »The British Medical Journal« powiedział: „Czasopismo, którego redaktorzy nie mają swobody redakcyjnej, aby wycofać informacje naukowe uznane za niewiarygodne, powinno być postrzegane przez społeczność naukową jako niezdolne do skutecznego nadzorowania jakości publikowanej przez siebie nauki”.

No raczej...

Smutna diagnoza

Możemy się nabijać z oszołomstwa członków Grupy Proelio, z pozoru niegroźnych, mało znaczących publicystów, którzy poza katolickim rowem medialnym wzbudzają chęć pokazania środkowego palca. Warto jednak pamiętać, że kropla draży skalę, a

Polska, która płynie z nurtem konserwatywnego gówna, mocno trzyma kurs. Gdyby prawica wygrała wybory i ponownie posadziła swój fundamentalistyczny zad na stołku, nauką zajmą się leżący pod krzyżem specjaliści

pokroju prof. Coleman i Kaliszuków. A jest to wybitnie słaba perspektywa.

IDALIA DUBICKA

wspólnego, bo realizuje cele ONZ. Pospieszalski demaskuje, że organizatorzy snęz w Lizbonie chcą pożenić „rzeczywistość oenzetowską, powiedzmy wprost: masońską, antychrześcijańską, z rzeczywistością Kościoła, Ewangelii i z inicjatywą powołaną przez Jana Pawła II po to, żeby wzmacniać w wierze młodych ludzi”. Do tego dochodzi „religia klimatyczna, ekologizm”, czyli współczesne pogaństwo, a – co najgorsze – do udziału w wydarzeniu zaproszeni zostali wszyscy: żydzi, muzułmanie, a nawet – zlituj się, Boże! – ateści. Będzie promocja homoseksualizmu, transpłciowości i czego tam jeszcze lewaki nie wymyśli. Papież Franciszek kolejny raz podjął się próby rozejbania Kościoła kat. od środka w imię pięknych, lecz naiwnych idei powszechnego braterstwa, które podsuwają mu zakamuflowani masoni. „Ilość skandalicznych zdarzeń, decyzji, wizyt, które w ciągu ostatniego pontyfikatu obserwujemy – wypowiedzi, które trzeba dementować, dokumentów, które nie wiadomo, jak czytać – jest tak znacząca, że za każdym razem, gdy o nich słyszę, myślę: Kiedy ktoś wreszcie powie »dość«? Basta, to jest herezja, to jest sprzeczne z nauką Jezusa Chrystusa” – równał Franciszka z ziemią na jednym ze spotkań autorskich.

Pospieszalski swoją ideą zapłodnił podobnych sobie obsesjonatów, którzy własną matkę by sprzedał, byleby wbić szpilę Franciszkowi. Płachtą na byka jest też dla nich idea zrównoważonego rozwoju zawarta w oenzetowskiej Agendzie 2030. Hasło to przyświecać ma również tegorocznym ŚDM,

ŚWIATOWE DNI MŁODZIEŻY



Rys. TOMASZ WIATER

a równocześnie – czytamy na portalu PCh24, gdzie również bryluje nasz ulubiony redaktor – „jak każda świecka ideologia, stara się wykorzystać Kościół katolicki do własnych celów”. „Tymczasem u kresu tej drogi jest przekształcenie ludzkiej cywilizacji na podobieństwo piekła” – informują nas dziennikarze „Śledczy” z psychokatolickiego portalu. Dla katolików wszystko, co zrównoważone, ma diabelski posmak – zero zaskoczenia. Wznowszy do krucjaty przeciwko osmołeniu inicjatywy papieża Polaka diabelskimi herezjami, Pospieszalski usłyszał odzew.

Zebrała się grupa rodziców, którzy – w obawie przed utratą ideologicznego dziewictwa przez diatwę – interweniowali u biskupa Lizbony. Na sponsorowanym przez Ziobrę portalu pojawił się wywiad Pospieszalskiego z Piotrem Zajkowskim, zatroskanym rodzicem. Rozeźlony przez papieża tata wypłakał się w redaktorskie ramie: „Zrównoważony rozwój rzeczywiście dobrze brzmi w swoich hasłach, natomiast jest w wielu punktach niegodziwą agendą polityczną. Jest całkowicie nie do pogodzenia nie tylko z nauczaniem Kościoła, ale także nawet ze zwykłym ludzkim rozumowaniem. Jeżeli wejdziemy w środek – czym jest, jakie są jego cele, do czego dąży, na czym polega, to właściwie każdy uczi-

wy człowiek powie: »nie, ja tego nie chcę!«”. Biskup ich zbyle. Ponieważ zostali przez niego zignorowani, to utwierdzili się w przekonaniu, że to wszystko masoński spisek – tak już działa obłożona twierdza.

Zareagował też polski Episkopat – nieco bardziej konkretnie. W końcu Pospieszalski, zanim powędrował do krainy szurów, był jakimś tam figurą w środowisku. Bepe Adam Bab, członek Rady Episkopatu ds. Duszpasterstwa Młodzieży, stwierdził, że żadnej afery nie ma, bo „w procesie powstawania Agendy 2030 uczestniczyli przedstawiciele Ojca Świętego, który zgodnie z nauczaniem Kościoła poparł niektóre postulaty, a innym wyrażnie się sprzeciwił”. Sprzeciwił się złym, poparł dobre, na chuj drażący temat. Nie ma o co kruszyć kopii i „podważać sensu uczestnictwa młodych w ŚDM”. Czyli po polsku: odpierdol się, Janek, bo nam imprezę psujesz; młodzież i tak ma nas w dupie, a ty jeszcze dolewasz oliwy do ognia.

Cała powyższa dyskusja o Światowych Dniach Młodzieży odbyła się w gronie starszych panów. Co na to sama młodzież? Dba o to, żeby w Lizbonie nie zabrakło jointów, alkoholu i przerwy. Nie wie, kto to Pospieszalski. Podczas gdy jedni zajmują się pierdołami, drudzy stawiają na to, co istotne.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Spuścizna Teheranu

Polska do tej pory nie odrobiła lekcji z historii tworzenia nowego ładu po II wojnie światowej.

Na przełomie 1943 i 1944 r. w polityce wielkich mocarstw koalicji antyhitlerowskiej dokonał się pewien przełom w kwestii polskiej i ustalone wtedy stanowisko przetrwało do końca zimnej wojny. Konieczność doprecyzowania stanowiska w kwestii polskiej wiązała się z przygotowaniami do spotkania wielkiej trójki, planowanego na listopad 1943 r. w Teheranie. Przynaglała też perspektywa zwycięskiego końca wojny w Europie. Po bitwie stalingradzkiej i wyraźniej jeszcze po klęsce Wehrmachtu w lipcowym starciu na Łuku Kurskim los Niemiec został przesądzony. Sprawa polska nabierała wagi dlatego, że dzieliła głównych koalicjantów sporem terytorialnym. Związek Radziecki obstawał przy zachowaniu swej granicy zachodniej z czerwca 1941 r., a więc po aneksji 45 proc. przedwojennego terytorium Polski. Polska zaś domagała się odzyskania tego terytorium i liczyła na poparcie aliantów, których stanowisko było dwuznaczne, a w istocie coraz bardziej przychylnie Związkowi Radzieckiemu. Odesłanie sprawy na konferencję pokojową było nierealne, gdyż mogło ją przekształcić w polsko-radziecki spór graniczny. A ponadto armie radzieckie już się zbliżyły do spornych ziem i czas naglił.

...

W 1942 r. rząd brytyjski podjął próbę skłonienia polskiego rządu emigracyjnego do ustępstw terytorialnych na rzecz ZSRR i odnowił swe poparcie dla zaproponowanej w 1919 r. przez brytyjskiego ministra spraw zagranicznych lorda George'a Curzona linii granicznej na Bugu. Po cichu zabiegom brytyjskim sprzyjały Stany Zjednoczone. Na początku 1943 r. na konferencji w Casablance oba mocarstwa zachodnie zaakceptowały zaproponowaną przez prezydenta USA Franklina Delano Roosevelta strategię wygrania wojny w Europie wskutek połączenia radzieckiej siły ludzkiej z zachodnią potęgą gospodarczą. Oznaczało to ogromne bezpłatne dostawy broni i przede wszystkim materiałów strategicznych oraz żywności dla Związku Radzieckiego przez Stany Zjednoczone. Związek Radziecki zaś brał na siebie główny ciężar wojny lądowej i wynikające z tego ogromne straty ludzkie. Cztery z pięciu milionów żołnierzy niemieckich poległych na tej wojnie zginęły na froncie wschodnim. Radzieckie straty wojskowe sięgnęły ośmiu milionów poległych w walce i zmarłych od ran. USA i Wielka Brytania uznały, że konsekwencją tej strategii i ceną za pewność jej realizacji przez ZSRR musi być niezmiennosc radzieckich granic, a nawet pewne ich poszerzenie oraz oddanie pod radziecki wpływ polityczny sąsiadujących z nim państw odbitych przez armie radzieckie Niemcom. Dla środkowoeuropejskich sojuszników mocarstw zachodnich był to polityczny cios. Rząd polski postrzegł utratę Kresów Wschodnich jako historyczną i egzystencjalną katastrofę nie do zaakceptowania, choć sojusznicy obiecali wynagrodzić to kosztem terytorium niemieckiego.

Ponieważ przewidywano zawarcie porozumienia ze Stalinem w tej kwestii już w Teheranie, zdecydowano się podpisać je w tajemnicy, bez informowania rządu polskiego. Obstawał przy tym przede wszystkim prezydent USA.

Kiedy w czasie przygotowań do Teheranu brytyjski minister spraw zagranicznych Anthony Eden przypomniał prezydentowi Rooseveltowi, że Polacy na te ustępstwa swoim kosztem wobec Stalina się nie zgadzają, usłyszał twardą odpowiedź: „Polacy mogą czegoś nie chcieć, ale będą musieli zgodzić się na to, co postanowią mocarstwa. I to jeszcze w czasie wojny, bo nie zamierzam jechać na konferencję pokojową po to, by tygodniami przekonywać mniejsze państwa”.

A na samej konferencji teherańskiej powiedział Stalinowi, że w kwestii polskich granic pozostawi mu wolną rękę, tylko publicznie tego nie ogłosi przed wyborami prezydenckimi w USA (listopad 1944 r.) ze względu na głosy Polonii. Stalin odniósł się do tego zastrzeżenia z pełnym zrozumieniem.

...

Na wniosek brytyjskiego premiera Winstona Churchilla porozumiano się też co do rozmiarów rekompensaty terytorialnej dla Polski. Churchill wyliczył, że po wysiedleniu Niemców powinna ona zapewnić miejsce dla trzech milionów Polaków z Kresów Wschodnich. Sądził, że na to wystarczy Śląska Górny i Opolskiego oraz Prus Wschodnich i Gdańska.

Miesiąc po tych utrzymywanych przed rządem polskim w tajemnicy decyzjach, 11 stycznia 1944 r. Iwan Majski (właściwie Jan Lachowiecki), uczestnik konferencji teherańskiej, w tym czasie jeden z kilku zastępców radzieckiego komisarza ludowego spraw zagranicznych Władysława Mołotowa, przedstawił swojemu szefowi obszerny memoriał zatytułowany „Rozważania o pożądanym podstawach przyszłego pokoju”. Nakreślił w nim kształt odpowiadającego interesom ZSRR powojennego ładu światowego w generaliach i w szczegółach. W sprawie polskiej również.

„Celem ZSRR – pisał Majski – powinno być utworzenie niepodległej i zdolnej do życia Polski, jednakże nie jesteśmy zainteresowani w powstaniu jej jako zbyt dużej i zbyt silnej. W przeszłości Polska prawie zawsze była wrogiem Rosji i nikt nie może powiedzieć nic pewnego, jaka stanie się ona w przyszłości. [...] Należy więc [...] ostrożnie kształtować powojenną Polskę jako kraj w możliwie niewielkich rozmiarach, stosując konsekwentnie zasadę granic etnograficznych. Mówiąc konkretnie, wschodnia granica Polski powinna być wytyczona zgodnie z granicą z 1941 r. lub jako zbliżona do niej (na przykład zgodnie z »linią Curzona«), przy czym Lwów i Wilno w każdym wypadku powinny pozostać w granicach ZSRR. Na zachodzie można do Polski przyłączyć całe Prusy Wschodnie lub, co byłoby lepszym rozwiązaniem, ich część oraz pewne części Śląska, w połączeniu z wysiedleniem stamtąd Niemców. Cieszyń mógłby zostać zwrócony Czechosłowacji”.

Majski, przewidując odbudowę Polski przez ZSRR niezwasalizowanej i być może z nim skonfliktowanej, opowiadał się za znacznym okrojeniem jej terytorium. Propozycje te były bliskie stanowisku szefów zachodnich mocarstw na zakończonej kilka tygodni wcześniej konferencji wielkiej trójki w Teheranie.

Część historyków skłonna jest lekceważyć memoriał Majskiego, jako że autor był niezbyt wy-

soko uplasowany w radzieckiej hierarchii. Chyba niesłusznie. Majski z całą pewnością należał do urzędników doskonale poinformowanych o nastrojach i poglądach panujących na szczytach radzieckiej biurokracji. Według W. Zuboka i K. Pleśzakowa, historyków młodej rosyjskiej generacji, piszących na podstawie do niedawna niedostępnych kremlofskich archiwaliów, w swym memoriale Majski z całą pewnością odzwierciedlił poglądy ważnej grupy radzieckiego establishmentu, związanej ze służbą zagraniczną. A ponadto żaden radziecki dygnitarz nie odważyłby się w 1944 r. wyklądać na piśmie i kierować na ręce Mołotowa ocen i propozycji drastycznie odbiegających od stanowiska Stalina. Tym bardziej nie zrobiliby tego taki stary wyjadacz jak Majski. Można zatem przyjąć, że przez pewien czas po konferencji teherańskiej Stalin w zgodzie z aliantami zachodnimi zamierzał wskrzesić Polskę jako stosunkowo niewielkie państwo, znacznie mniejsze od przedwojennego. Perspektywy naszego kraju wyglądałyby marnie. Polska wprawdzie zostałaby ustrojowo bliska Zachodowi, ale za to bardzo zredukowana rozmiarami, znaczeniem i pozycją. W 1944 r. mocarstwa zachodnie pozostawały przy swoim stanowisku w sprawie granic Polski, natomiast Stalin zmienił je w kierunku znacznego zwiększenia rekompensaty terytorialnej na zachodzie. Co spowodowało tę zmianę stanowiska radzieckiego satrapy, możemy się tylko domyslać. Ale spróbujmy.

...

Wiele decyzji Stalina z tego okresu zdaje się świadczyć, że usatysfakcjonowany teherańskimi decyzjami granicznymi, brał pod uwagę jakiś kompromis z aliantami w sprawie politycznego oblicza powojennej Polski i jej relacji ze Wschodem i Zachodem. Dlatego zapewne zawiesił udzieloną wcześniej zgodę na utworzenie w Moskwie polskiego komitetu wyzwolenia na wzór francuskiego istniejącego w Londynie. Poszukiwał polskich polityków niekomunistycznej proveniencji skłonnych do współpracy ze Związkiem Radzieckim. Poszukiwania te nie dały zadowalających wyników – nie udało się m.in. pozyskać Stanisława Mikołajczyka mimo poparcia ze strony Churchilla. Czas naglił i Stalin z konieczności zdecydował się posta-

wić na komunistów polskich (których nie lubił) i ich sojuszników. Po myśli Stalina szła natomiast rozbudowa armii polskiej, która bez kłopotów rekrutowała poborowych na wyzwalanych właśnie zachodniej Ukrainie i Białorusi. Utworzenie i zainstalowanie w kraju Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego przebiegło też nadszperowanie sprawnie i bez większych oporów. Akowska akcja „Burza” okazała się względnie słaba, gdyż pozbawiona poparcia z Zachodu. Stalin pamiętał też, że w Teheranie Roosevelt podniósł kwestię zmniejszenia niemieckiej populacji w Europie o kilkanaście milionów. W Ameryce odpowiednia komisja rozważała wtedy nawet ewentualność kastracji kilkunastu milionów Niemców. W Teheranie Stalin zaproponował na początek rozstrzelanie 50 tys. niemieckich oficerów, co wywołało gwałtowny sprzeciw Churchilla. Te incydenty upewniły Stalina, że drastyczne okrojenie Niemiec terytorialnie nie napotka na opór aliantów. Z kolei wzmocnienie siły Polski wydało się zupełnie bezpieczne, ale pod warunkiem, że zostanie ona zwasalizowana. Taka zapewne jest geneza radykalnej zmiany stanowiska Stalina w sprawie terytorialnej rekompensaty dla Polski na zachodzie pół roku po Teheranie, czyli trzykrotny jej wzrost.

...

To, co miało posmak narodowej klęski, nabrało cech historycznego sukcesu. Ziemie poniemieckie jako 40 proc. nowego terytorium Polski zmieniały jej oblicze. Nie tylko przesunęły na zachód, lecz też do przodu o wiek cały. Ogromnie wzbogaciły, gdyż po wysiedleniu ludności niemieckiej ich wartość materialna niezmiennie wzrastała. W ręce państwa polskiego przechodziła bowiem nie tylko własność publiczna, ale też kilkakrotnie większa – prywatna. Takie transfery w najnowszej historii były bez precedensu. Nie był to ze strony Stalina prezent dla Polski, do której nie żywił sympatii. Raczej miał na widoku wzmocnienie swego imperium. Uzależniał w ten sposób Polskę, jak sądził, na wieki. Pomylił się.

Polska Ludowa od początku broń swą suwerenności na nowo uzyskanym terytorium. Gomułka w ciągu kilku miesięcy wywalczył rezygnację Stalina z demontażu urzędów przemysłowych na tych ziemiach. Uzależnienie, początkowo rzeczywiście ogromne, zostało poważnie zredukowane trzy lata po śmierci Stalina (październik 1956!), a zupełnie uchylone 35 lat później. Natomiast dobroczynny wpływ ziem zachodnich pozostał, choć wciąż jest w Polsce niedoceniany. Ogromnie ułatwiły odbudowę powojenną i, co najważniejsze, pozwoliły od ręki zlikwidować ciężące na Polsce i pętające jej siły przeludnienie wsi. Do tego doszło graniczące z cudem pogodzenie się niemieckiego społeczeństwa i państwa w historycznie krótkim czasie z utratą 20 proc. narodowego terytorium. Ta zmiana stanowiska Niemiec spowodowała wycofanie się z bojkotu polskiej granicy zachodniej przez państwa NATO i cały świat zachodni. Należą się za to Niemcom uznanie i podziw, a nie ustawiczne utyskiwanie i wystawianie rachunku krzywd z motywacją polityczną, propagandową i wyborczą. To bardzo lekkomyślne, gdyż nie wolno zapominać, że takie procesy historyczne jak godzenie się z konsekwencjami klęski i akceptacja nowego miejsca na scenie geopolitycznej są długotrwałe i przez kilka pokoleń wciąż odwracalne.

Dzięki zmianom terytorialnym i przesunięciu na zachód Polska z głównego poszkodowanego w tej wojnie stała się jednocześnie największym beneficjentem klęski Niemiec. Wysłała zatem niespodziewanie pomyślnie z ogromnego nieszczęścia. Mogła wyjść trochę lepiej i nawet uniknąć uzależnienia od ZSRR. Wzorem Finlandii poprzestać tylko na stratach terytorialnych i uzależnieniu dyplomatycznym oraz wojskowym. Były przez pewien czas takie szanse, gdyż ku temu zmierzała polityka zachodnich sojuszników Polski. Zamiast działać w zgodzie z nimi i odpowiednio doposażać swą politykę, polski rząd emigracyjny usiłował bezskutecznie spowodować dostosowanie się mocarstw do stanowiska Polski.

Został więc przez sojuszników opuszczony i zignorowany. Niestety, ta wielka lekcja historii też nie została należycie przemyślana i w nowych kryzysach powtarzamy stare błędy. Niedawno w czasie szczytu NATO w Wilnie byliśmy świadkami, jak prezydent Joe Biden przywołał do porządku radykałów z Warszawy, Kijowa i Tallina, usiłujących skłonić Stany Zjednoczone do przekształcenia ważnej, ale tylko sukcesyjnej wojny na Ukrainie w generalną rozprawę z Rosją. Zamiast miejsca po prawicy „pana świata” Andrzej Duda musiał poprzestać na miejscu w trzecim rzędzie. Hegemon postawił na swoim.

M.Z.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Pici polo na małe bramki

Wielcy Szu.

Moje konto w banku jest nieustannie monitorowane. Przez bank. Nie jest to żadne odkrycie ani rewelacja. Jeśli tylko na koncie pojawi się jakaś większa gotówka – np. gdy skończy mi się założona lokata – dzwoni do mnie mój „opiekun” przydzielony przez bank. I zaprasza do oddziału.

Opiekun nosi oficjalny tytuł „doradcy klienta” – czyli niby mój, bo ja jestem w tym układzie klientem – i jest to oczywiście nazwa całkowicie kłamliwa, bo on nie ma za zadanie doradzać czegokolwiek mnie, ale całkiem na odwrót – to człowiek pierwszej linii, który ma za zadanie wcisnąć mi produkty wymyślone w banku. Bo bank sprzedaje produkty – kredyty, depozyty, polisy, lokaty, polisolokaty, ubezpieczenia, jednostki funduszy etc.

Ludzie bez honoru

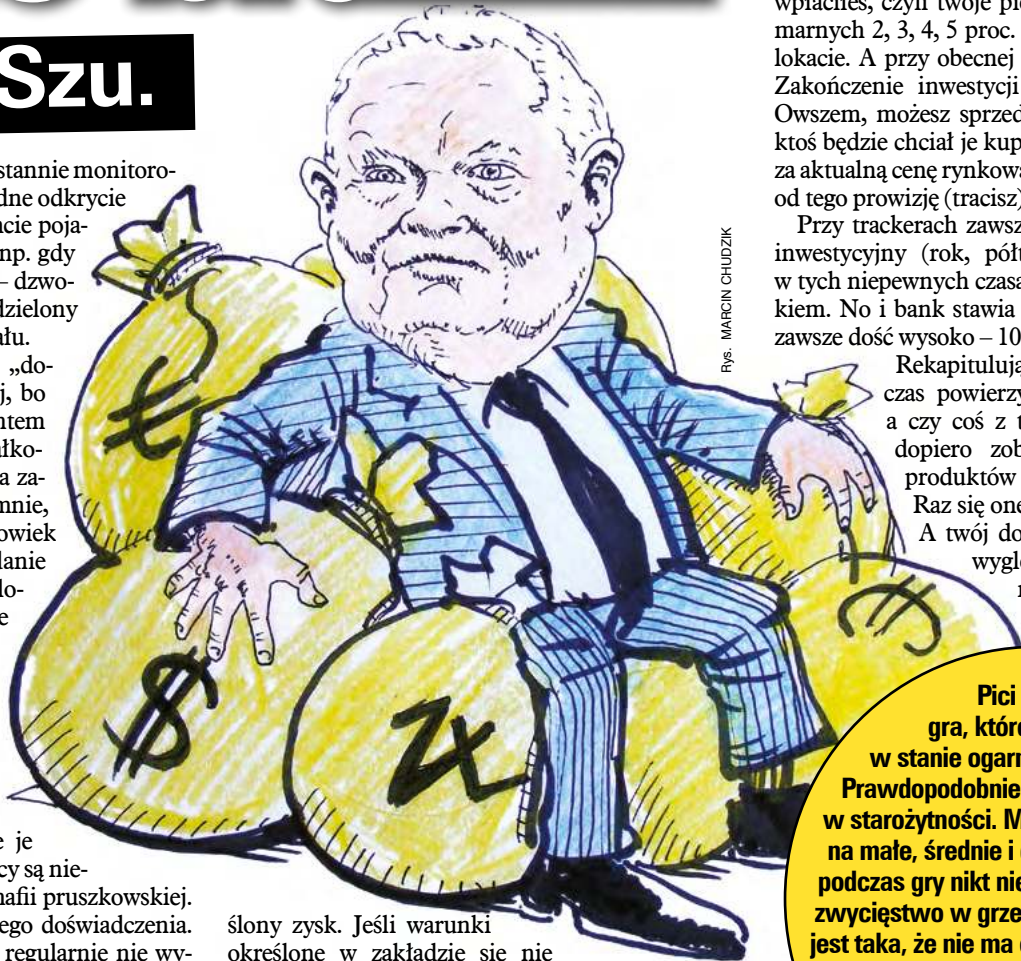
Już kiedyś użyłem takiego porównania, ale pozwolę sobie je powtórzyć: uważam, że bankowcy są niebezpieczniejsi niż członkowie mafii pruszkowskiej. Mówię to na podstawie osobistego doświadczenia. 1. Mafia pruszkowska do mnie regularnie nie wydzwaniania i nie zawraca mi dupy. 2. Mafia pruszkowska nigdy mnie nie oszukiwała, a banki i owszem, wiele razy. Nie twierdzą, że ci z Pruszkowa to altruści, ale ich zakres działania jest zdecydowanie w skali mikro, a banków na odwrót – jest globalny i mało kto nie ma z bankiem do czynienia. Chyba że człowiek szczęśliwy jak prezes Jarosław Kaczyński. 3. W przypadku spotkania z przedstawicielami mafii od razu wiadomo, kto jest napastnikiem, kto ofiarą; w przypadku spotkania „doradcy klienta” z banku wiele osób nie ma rozeznania w tej kwestii, a efekt spotkania może się okazać opłakany dla portfela dopiero po czasie. 4. Na mafię od biedy można się poskarżyć wymiarowi sprawiedliwości, a przy próbie skarżenia się na banki ta możliwość jest mocno ograniczona (w sprawie oszukiwanych kredytów frankowych wciskanych ludziom przez banki trzeba było aż wyroku TSUE, aby sprawy w polskich sądach przyspieszyły i miały większe szanse powodzenia).

Dlatego być może na gangsterów czasem mówi się „ludzie honoru”, a bankowców nazywa się banksterami.

Struktura trzech kubków

Dlaczego mimo że wyznają to, co wyluszczyłem powyżej, pojechałem do odległego oddziału na spotkanie z moim „doradcą klienta”, to już zagadnienie dla psychoterapeutów. Jakaś niewiedzialna absurdałna siła szeptała mi wprost do zwojów mózgowych: „Chuj, że stracisz dwie godziny, może będzie wesoło”.

Pani „doradca” miała mi do przekazania jedno: mamy dla pana superkorzystną ofertę – certyfikaty strukturyzowane. Zwane też trackerami. Ktoś wymyślił te nazwy ani chybi po to, aby je było trudniej zapamiętać i aby nic kompletnie ofierze nie mówiły. W największym skrócie: bank chce zawrzeć z ofiarą umowę-zakład. Jeśli w określonym czasie zdarzy się to i to (wzrost lub spadek notowania określonych walut, akcji, funduszy), to wówczas wypłaci okre-



Rys. MARCIN CHUDZIK

ślony zysk. Jeśli warunki określone w zakładzie się nie zdarzą, całujcie psa w nos.

Abyscie mogli to sobie trochę lepiej wyobrazić: znacie grę w trzy kubki? Stoi facet na ulicy i na gazecie ma trzy plastikowe kubeczki. Pod jednym z nich jest mała piłeczka. Facet kugluje kubeczkami. Szybko, coraz szybciej. A ty masz zgadnąć, pod którym kubkiem jest kulka. Wcześniej obaj kładziecie na gazecie po stówie. Zgadniesz, gdzie kulka – zabierasz kasę. Nie zgadniesz – kasę zabiera organizujący grę. Tylko tak się składa, że cholera jasna, jakkolwiek byś się wyteżał, nie dasz rady wygrać. Ulegasz iluzji.

Uroki iluzji

Bank też stosuje iluzję: szansa na wygraną, ochrona 100 proc. wartości nominalnej inwestycji w dniu wykupu, możliwość zakończenia inwestycji z inicjatywy inwestora, czyli twojej. Co to oznacza w praktyce? W moim przypadku – trzy spółki notowane na giełdzie, a wskazane przez bank, muszą osiągnąć w określonym czasie (tu 18 miesięcy, czyli półtora roku) określony zysk. Gdy nawet jedna z nich tego nie osiągnie, już dupa. Zysk jest wysoce niepewny. Ochrona 100 proc. wartości nominalnej inwestycji to nic innego niż to, że bank odda ci tyle, ile mu wpłaciłeś, czyli twoje pieniądze nie zarobią nawet marnych 2, 3, 4, 5 proc. jak na kiepskiej bankowej lokacie. A przy obecnej inflacji po prostu stracisz. Zakończenie inwestycji z inicjatywy inwestora? Owszem, możesz sprzedać swoje certyfikaty (jeśli ktoś będzie chciał je kupić) przez biuro maklerskie za aktualną cenę rynkową (tracisz) i musisz zapłacić od tego prowizję (tracisz).

Przy trackerach zawsze jest tzw. długi horyzont inwestycyjny (rok, półtora roku, dwa lata), co w tych niepewnych czasach samo w sobie jest ryzykiem. No i bank stawia próg jednorazowej wpłaty zawsze dość wysoko – 10 tys. zł albo więcej.

Rekapitulując: masz bankowi na długi czas powierzyć jak najwięcej gotówki, a czy coś z tego będziesz miał, to się dopiero zobaczy. Oczywiście takich produktów każdy bank ma dziesiątki.

Raz się one nazywają tak, raz inaczej.

A twój doradca na ogół jest młody, wyglądny i pierwsze, co robi na spotkaniu, to zaproponuje ci kawę.

Pici polo to gra, której nie jesteś w stanie ogarnąć mózgowicą. Prawdopodobnie została wymyślona w starożytności. Może się ona odbywać na małe, średnie i duże bramki. Bramek podczas gry nikt nie widzi. Celem gry jest zwycięstwo w grze. Jedyną regułą tej gry jest taka, że nie ma ona żadnych reguł. Gra wymaga od grających w nią zawodników najwyższej koncentracji. W przypadku gry w pici polo, gdy jednym z grających jest bank, bank zawsze wygrywa.

Każdy ma konto w banku (no, niemal każdy). To wygodna. Ale jak dzwoni twój doradca, wiedz, że coś się dzieje. Bądź czujny!

W.K.

Łgarstwo tłustych pijaw

Jeśli usłyszycie, jak banki wiążą koniec z końcem, miejcie z tyłu głowy, że wynik finansowy netto sektora bankowego w 2022 r. wyniósł 12,4 mld zł wobec 6,1 mld zł w poprzednim roku. Znaczący rok temu banksterzy zarobili dwa razy tyle, co rok wcześniej. Ba, podatek dochodowy zapłacony przez sektor w roku 2022 wyniósł 8,4 mld zł. Jak ktoś sądzi, że to strasznie dużo, to co powie na to, że w bieżącym roku tylko przez pięć miesięcy sektor bankowy w Polsce zarobił na czysto ponad 17 mld zł?

Zysk netto sektora bankowego w samym pierwszym kwartale wyniósł 8,83 mld zł, co oznacza wzrost rok do roku o 42 proc.! Tylko w samym marcu zysk całej branży w Polsce wyniósł 2,64 mld zł.

Wszystko to w czasie, gdy przedstawiciele banków opowiadają mediom o swojej ciężkiej sytuacji spowodowanej kryzysem we frankach szwajcarskich i tym, że ludzie nie płacą im, bo dostali od państwa wakacje kredytowe od swoich pożyczek hipotecznych.

Na czym branża finansowa zarabia? Na wszystkim. Banki generują swoje największe przychody poprzez udzielanie kredytów i pożyczek. Dotyczy to zarówno produktów finansowych dostępnych stacjonarnie, jak i przez internet. W bankach wszystkie kredyty i pożyczki wiążą się z pewnymi opłatami. Koszą wszystkich za wszystko. Zarówno ubożego renciście korzystającego z zakupów na raty, jak i bogatego rolnika potrzebującego kilkuset tysięcy zł na traktor. Oczywiście drenują i deweloperów łaknących kredytu na nowe budowy, firmy zbrojeniowe, samochodowe i wszystkie inne też, tak jak choćby szpitale, bo większość biznesu w Polsce i na świecie jest robiona za bankowy kredyt.

Z całego tego towarzystwa banki zdzierają prowizję, odsetki, płatności za konto czy za co im się zamarzy. Ba, udzielane przez banki kredyty muszą być ubezpieczone. Oczywiście w ubezpieczalni, której większościowym akcjonariuszem jest bank. Banki mają też pod sobą biura maklerskie. Zdzierają więc opłaty i prowizję za wszystkie kupna i sprzedaże akcji. Przy okazji banki są właścicielami funduszy inwestycyjnych, emerytalnych i innych stanowiących tzw. sektor finansowy. Oprócz tego dzięki akcjom i udziałom są właścicielami i współwłaścicielami tysięcy firm. Kasują z podległych sobie podmiotów zysk, dywidendy i oczywiście spekulują na sprzedaży akcji, udziałów i innych opcji czy czegoś, co nazywają papierami wartościowymi. Oprócz tego banki mnóstwo kasy zarabiają na obligacjach. Zarówno państwowych, jak samorządowych i oczywiście tych, które emitują duże firmy. A wszystko to po to, żeby płakać, jak to im źle.

TJ

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

Dziecko powinno **słyszeć o Bogu już w domu**, zanim pójdzie do kościoła. Zatem jedną z pierwszych zasad jest nauczanie dziecka modlitwy. Nie chodzi mi tutaj o formułki, ale o to, że dziecko modli się razem z rodzicami w domu. Warto też wcześniej przejść się z dzieckiem do kościoła, kiedy nie ma mszy świętej, aby „oswoić” się z nowym miejscem. To spowoduje, że nie będzie się bało tego miejsca.

ks. Marcin Nowak, PCh24.pl, 29 lipca

Oswojenie dziecka ze świątynią na przykład podczas spaceru jest jak najbardziej wskazane. Dzięki temu maluch może się z bliska przyglądać obrazom, a może – jeśli to możliwe – nawet dotknąć figury. Byłoby idealnie – to takie moje ciche marzenie – aby dziecko mogło też wtedy **spotkać się z księdzem** i na luzie z nim porozmawiać.

dalej Nowak

Warto cały czas dziecku tłumaczyć, że idziemy spotkać się z Bogiem, odwiedzić Go i z Nim porozmawiać. Dobrze by było, gdyby dziecko **od rodziców dowiedziało się, czym jest msza święta**, niż dopiero w szkole na katechezie – to stanowczo za późno.

Nowak

Jeśli rodzice cały czas chodzą z dziećmi do kościoła, jest to dla nich ważna i normalna sprawa w życiu, to będą chodzić cały czas. Natomiast jeśli I Komunia Święta jest tylko jednorazowym wydarzeniem w życiu religijnym dziecka, a później rodzice i tak nie idą do kościoła, to przecież dziecko też nie pójdzie. Przygotowanie dzieci do I Komunii Świętej to doskonała okazja, aby popracować także z rodzicami, spróbować „oswoić” ich z kościołem i z księdzem, aby obudzić w nich pragnienie Boga.

Nowak

Namnożyło się nam rewolucjonistów. Chcą **budować nowego człowieka**, nowy lepszy świat, a w tym świecie nowy Kościół. Owi rewolucjoniści mają jakieś idee. Mniej więcej zbliżone do tych, które tłoczą nam co dzień do głów lewicowo-liberalne media. Ale główna idea kościelnych rewolucjonistów jest taka, żeby zrobić inaczej, niż było, a co z tego wyjdzie, to się zobaczy.

ks. Dariusz Kowalczyk, „Idziemy”, 31 lipca

Bóg odczytany w perspektywie transgender – ta absurdałna myśl zaczyna przenikać teologię chrześcijańską. Podczas gdy niektóre grupy protestanckie są już bardzo zaawansowane na drodze **queerowej rewolucji Boga**, katolicy dopiero rozpoczynają tę „podróż”. Niestety, nic nie wskazuje na to, by miała się szybko zakończyć.

Paweł Chmielewski, „Do Rzeczy”, 31 lipca

Dlaczego część młodych kobiet, w tym Polek, nie chce zakładać rodzin ani rodzić dzieci? Czy tylko z powodu trudnych warunków materialnych – zarobkowych, mieszkaniowych itp.? Główna przyczyna jest głębsza – mentalna. Otóż środowiskom liberalno-lewicowym i związanym z nimi mediom udało się zrobić dwie rzeczy: **odwieść tę część dziewczyn od autentycznej kobiecości** oraz przekonać je do określonego stylu życia – indywidualistycznego, wygodnego i hedonistycznego. Wmówiono im, że w istocie niczym się nie różnią od mężczyzn, a istniejące jeszcze tu i ówdzie różnice należy neutralizować: mają tak samo wyglądać, tak samo się zachowywać, to samo robić itd. Jest to jedno z najgroźniejszych kłamstw naszych czasów. A prawda jest zupełnie inna: w rzeczywistości jesteśmy powołani do istnienia jako kobiety albo mężczyźni i mamy odmienną strukturę cielesno-psychiczno-duchową.

Jan Galarowicz, Niezależna.pl, 28 lipca

Wybrał KLECHA

REKLAMA

TRYBUNA
Wiemy lepiej!

W numerze:

Michał Piękoś
Izabela Szolc
Zuzanna Dąbrowska
Jerzy J. Wiatr
Xavier Woliński
Piotr Ikonowicz
Tomasz Miłkowski
Tadeusz Klementewicz
Jarek Ważny
Piotr Gadzinowski

W Twoim kiosku nie ma Trybuny?
Poproś sprzedawcę, niech ją zamówi



www.trybuna.info

UKRAIŃCY
CHCĄ DO DOMU

TUSK
– MISTRZ TWITTERA

ZAKŁADNICZKI ALKOHOLIZMU

GRABARKA
– W DRODZE NA ŚWIĘTĄ GÓRĘ

tygodnikprzeгляд.pl



Demony marksizmu-lesbianizmu

Tęczowe brygady nadchodzą, by zniszczyć rodzinę i tradycję, a prawicowe szurstwo odlatuje.

Co niszczy polską rodzinę? Nie konieczność pracy po 10 godzin dziennie, przez co nie ma siły pielegnować więzi rodzinnych. Nie przemoc domowa, to, że wiele kobiet, osób starszych czy dzieci zgarnia mniej lub bardziej regularnie wpierdol. Nie wpierdalanie się klechów do łóżek i wychowywania nie swoich dzieci. Nie tani i dostępny na każdym rogu alkohol.

Polską rodzinę niszczy tzw. marksizm-lesbianizm. Tak przynajmniej twierdzą prawe szury nad Wisłą i Odrą. I chociaż są oni – bo to głównie mężczyźni – żarliwymi patriotami (no dobra, dla mnie to zakute nacjonalistyczne łby), to – podobnie jak w przypadku myśliwców F-35 – nie mają nic przeciwko temu importowi z Ameryki.

Ideologia wesółkowata

Jednym z czołowych samozwańczych polskojęzycznych „znawców” marksizmu-lesbianizmu jest prof. Marek Jan Chodakiewicz, amerykański historyk polskiego pochodzenia. Od wielu lat tropi on „homosrodowiska”, które wpisują się w znane od wielu epok plany utopistów, aby „zniszczyć” nie tylko rodzinę, ale w ogóle wszelkie filary „normalnego” społeczeństwa, czyli tradycję, patriotyzm, religię i własność prywatną.

Symptomatyczny (język medyczny jest tu na miejscu) dla sposobu myślenia pana Ch. jest jego tekst od rzeczy w tygodniku „Do Rzeczy” z 2016 r. Są tam prawie wszystkie znane światu konserwatywne odpaly myślenia spiskowego. Z artykułu dowiadujemy się, że jego autor jest światowcem, czego symbolem są jego znajomi, konserwatywni katolicy: ambasador Robert R. Reilly oraz Paul Kengor: „Reilly widzi ofensywne gwałcenia prawa naturalnego. Kengor kreśli prostą linię od bolszewickiego sabotażu wolnego świata do *małżeństw gejowskich*. Argumentują, że szalejącej rewolucji kulturowej chodzi ni mniej, ni więcej jak o zmianę natury człowieka i zniszczenie rodziny jako instytucji”.

Rzecz jasna, pan Ch., choć ma się za znamienitego reprezentanta „cywilizacji zachodniej”, nie



wspomina, jak chrześcijaństwo zniszczyło powszechnie akceptowany kiedyś model rodziny (czy to w starożytnym Cesarstwie Rzymskim, czy wśród słowiańskich pogan na obszarze dzisiejszej Polski). A model ten cechowała choćby pewna swoboda seksualna, choć większa dla mężczyzn niż kobiet. Ani nie pisze nic o tym, że jego rzekomo ukochany Jezus nie miał wiele czasu dla swej rodziny i postawił sprawę jasno, mówiąc dosadnie, że jego uczniem nie może być ktoś, kto „nie ma w nienawiści swego ojca i matki, żony i dzieci, braci i siostr” (Ewangelia św. Łukasza).

Chodakiewicz kreśli ponurą wizję ideologii wesółkowatej – od angielskiego słowa *gay*, czyli „wesół”: „W XX wieku alternatywny styl życia

w sferze obyczajowej wyszedł z rewolucji bolszewickiej w Rosji. Parady nudystów, komuny seksualne, rozwody na życzenie, *sex jako szklanka wody*, gwałty jako wyraz walki klas czy próby kolektywizacji kobiet były tylko jednym z wielu przykładów niszczenia norm naturalnych przez czerwonych. Stłamszona w latach 30. fala powróciła w USA w ramach rewolucji kontrkulturowej lat 60.”

Czego się boi owa – mówiąc abp. Jędraszewskim – tęczowa zaraza? Wiadomo, jak każdy diabeł boi się święconej wody. Remedium na wszelkie bolączki jest religia, bo – kontynuuje historyk – „wiarę daje siłę i argumenty. Wiara daje przeżyć nawet najbardziej szalony duch czasów. Tak było za zaborów, za niemieckiej okupacji, za komuny, no i jest

teraz – za liberalnej dyktatury przyjemności w takt marksizmu-lesbianizmu”.

Kij wam w Oko

Swoje trzy grosze do rozumienia marksizmu-lesbianizmu dołożył swego czasu na antenie Radia Maryja niezawodny w takich razach ks. Dariusz Oko. Zdaniem klechy dziś „homoiologia”, „różowy marksizm”, marksizm-lesbianizm to batalia o duszę narodu: „Ateiści, genderyści wypowiedzieli nam kolejną wojnę. Przegrali w szaleństwie komunizmu, a ponieważ nie uwierzyli w Boga, to muszą mieć jakąś namiastkę. To są sieroty po komunizmie. [...] Wiemy, że oni mają potęgę, pieniądze, media, nie jest łatwo, ale mamy szansę. Tak jak wydawało się, że trudno będzie wygrać z bolszewikami w 1920 r., ale jednak się udało dzięki mobilizacji, dzięki modlitwie”.

Ks. Oko powiedział w rozgłosni Rydzyka, że tak jak ateści radzieccy próbowali Polsce narzucić komunizm, tak ateści unijni próbują nam narzucić „genderyzm”. Dodał też, że bynajmniej nie jest wrogiem UE: „Tak jak wygraliśmy z bolszewikami, tak możemy wygrać z ateistami z Brukseli. Oni mają duże wpływy w Unii, ale Unia nie jest z nimi – to trzeba rozróżnić. My chcemy być w Unii Europejskiej, ale nie chcemy absurdałnej ideologii gendery, szalonej podobnie jak komunizm, którą wyznają niektórzy oficjele Unii Europejskiej”.

Opełniani elgiebetami

Kiedy dwa lata temu lewicowy hiszpański rząd przyjął projekt ustawy o rzeczywistej i efektywnej równości osób transpłciowych oraz gwarancji praw osób LGBTQ+, odniósł się do tego wiceminister edukacji i nauki Tomasz Rzymkowski. Poszło głównie o to, że Hiszpanie chcieli ułatwić korektę płci od wieku 14 lat.

Jak widać, pisowcy bardzo psioczą na wpierdalanie się innych krajów w polskie sprawy, ale chętnie wymają drzają się w sprawach innych państw, choć nikt ich o to nie prosił.

Rzymkowski podkreślał, że wielu nastolatków może popełnić błąd, którego potem będzie gorzko żałować. Nie omieszczał także pokusić się o pewną generalizację: „To wszystko zmierza w kierunku stworzenia nowego człowieka, a żeby to zrobić, należy najpierw wprowadzić chaos. Ów chaos właśnie obecnie obserwujemy”. Dodał małe co nieco o „rewolucji LGBT”, którą określił mianem „marksizmu stosowanego”.

Nie jest bynajmniej przypadkiem, że kilkadziesiąt samorządów pisowskich uchwaliło – a z czasem, w obliczu utraty unijnych funduszy, po cichu wycofało – wprowadzenie na swoim obszarze tzw. stref wolnych od LGBT. Bronią homofobicznych uchwał, poseł PiS Kazimierz Smoliński powiedział cztery lata temu TVP Info: „My nie jesteśmy przeciwko osobom, które mają taką czy inną orientację seksualną. My jesteśmy przeciwko ideologii LGBT. Tak jak był marksizm ideologią, tak w tej chwili jest taką ideologią LGBT”.

Boją się tęczy

Marksizm-lesbianizm reprezentuje wszystkie koszmarny prawych szurów: radykalnie lewicowe idee – dziwnym trafem często konceptualizowane przez myślicieli żydowskiego pochodzenia – z wyzwołanymi kobietami, które zamiast bogobojnych samców dzieciaków woła w swym łóżku inne kobiety. Zgroza!

Myślę, że najlepiej podsumować powyższą analizę słowami szczecińskiego punkowego ironisty Piguły Original. W kpiarskiej piosence „Boję się tęczy” rymuje on: „HIV i wirusy zsyła duch Marksa. Niech Biblia będzie dla nas jak tarcza. [...] Boję się tęczy, boję się tęczy. Nie będzie kobiet, nie będzie mężczyzn”. A także wspomina o JP2 i prymasie Wyszyńskim, których już nie ma, więc „kto nas obroni przed siedmiogłowym smakiem sodomii”.

PLURALIS MAIESTATIS

Chłopaki nie płaczą

Nie ma już Sinead O'Connor. Nie ma jej głosu, talentu, odwagi. Była to kobieta, która pomyliła nadzieję z naiwnością. Wyskoczyła przed szereg i na wysokim C ogłosiła niewygodną prawdę, licząc na poparcie tych, którzy dotychczas milczeli. Część z nich – owszem – przemówiła, ale tylko po to, aby gówniarę szarpać. Biorąc pod uwagę to wszystko, co na O'Connor spadło, poradziła sobie w życiu znakomicie. Przeżytych 56 lat to w dzisiejszych czasach jednak całkiem niezły wynik, choć oczywiście chciałoby się więcej... Ale długowieczność to coś, co odchodzi do lamusa. I nie można zapomnieć o Whitney Houston (49 lat), Amy Winehouse (28 lat) czy Janis Joplin (27 lat)...

Internet zareagował zgodnie z oczekiwaniami: nieomal wszyscy kochali biedną O'Connor, słuchali kompulsywnie, a jej piosenki ukształtowały ich świat. Doprawdy? Można zdechnąć ze wzruszenia, kiedy czyta się wszystkie te deklaracje o wspieraniu piosenkarki tzw. duchem i podziwie dla jej odwagi. A przecież tchórze odwagi się boją, bo pokazuje ich małość. Dlatego odwaga nie jest w cenie – tej społecznej. „Wspieranie” O'Connor już jest bezpieczne. Jest martwa, jest martwą gwiazdą, a zawsze była jak gwiazda odległa. Wspieranie zwyczajnych ofiar, które się ma

pod polskim nosem – tego się nie robi. Dla nich są hejt i ostracyzm. Powiedziałabym, że hejt to jest w dobrym przypadku, bo dowodzi jakiegoś dostrzeżenia podbramkowej sytuacji. Najczęściej ofiara po prostu znika. Można się domyślić, że tłucze jej się po głowie, co takiego zrobiła złe. Nic. Po prostu nie ma czegoś takiego jak chwała dla przegranych.

Zdaje się, że kobiety radzą sobie z tą ciszą i samotnością lepiej – w końcu to nic nowego, a system wciąż od nowa przypomina im, że są społecznie słabsze. Gorzej z mężczyznami, którzy znajdują się w pozycji ofiary, bowiem jest to pozycja horyzontalna, przypisana kobietom. Co ciekawe, same kobiety nie lubią mężczyzn, którzy leżą i kwilą. Mężczyzna jest gwarancją zabezpieczenia życiowego kobiety. Mężczyzna powalony, nawet jeśli leży pod ciężarem własnej odwagi, nie ma żadnej wartości. Lepiej już, żeby zachlewał smutki, zikał na rybach albo na kurwach czy co tam jeszcze jest w pakiecie. Lamentująca kobieta to ikona, lamentujący mężczyzna to żaloszny obrazek. Chłopaki nie płaczą! – pragmatycznie myśląca matka i pragmatycznie myślący ojciec będą wbić to synowi do głowy tak długo, aż załapie. Płaczącym kobietom raczej się nie wierzy, płaczący

mężczyzna – oj, to obrazek trudniejszy do zlekceważenia, tym niebezpieczniejszy dla wszystkich. Płacz często zamienia się w agresję albo od razu jako agresja się objawia, ale nie tak często, jak by mógł. Psycholodzy, rzecz jasna, mają swoje zdanie: mężczyźni nie powinni tłumić swoich emocji. To ich kaleczy, odziera z człowieczeństwa, produkuje tanich macho. Zapominają, że mężczyznę zawsze kulturowo ma się za człowieka, a kobietę już niekoniecznie. Zapominają, że to wciąż przede wszystkim faceci siedzą w okopach. O'Connor garowała u okrutnych siostr magdalenek i umierała każdego dnia, jednak... Jednak to koleś na wojnie w każdej minucie ryzykuje, że go zabiją całkiem na śmierć. PTSD, czyli zespół stresu pourazowego, ujęto w powszechnym piśmiennictwie po roku 1980. Rzecz jasna po każdej wojnie napomynała o nim literatura piękna. Miał swoje pięć minut po Wietnamie, a dalej – po konflikcie afgańskim. Później PTSD został podarowany dzieciom, a nawet – coś podobnego! – kobietom. Kłopot w tym, że choć wojny na świecie toczą się każdego dnia od zarania dziejów, to teraz znowu wojna zawędrowała do Europy. A wraz z nią urlopownicy czy trwale fizycznie okaleczeni mężczyźni, z których część będzie miała nierówno pod sufitem. Chłopaki, bardzo wam współczuję. Ale i doradzam: jeśli nie potraficie przepięknie zaśpiewać „Nothing Compares 2 U”, to nie płaczcie, bo świat zabierze Wam i miłość, i szacunek.

IZABELA SZOLC

ZUZANNA JURCZYŃSKA

Czy dziennikarstwo sportowe zeszło na psy? Zdania są podzielone.

Umówiłem się niedawno na obiad, zwany dziś lunchem, z kilkoma kolegami dziennikarzami sportowymi z moich dawnych czasów. Po obowiązkowej wymianie skarg na dolegliwości zdrowotne, a przy zamawianiu posiłku z karty informacjami, czego zabraniają jeść lekarze, mogliśmy wreszcie wspominać stare dzieje. Pojawiło się główne pytanie: czy polskie dziennikarstwo sportowe jest teraz lepsze, czy gorsze niż za naszych czasów? Ja upierałem się, że jest po prostu inne, ale zdania były podzielone.

Oczywiście dzisiejszy dziennikarz dzięki internetowi ma nieograniczony i błyskawiczny dostęp do informacji. Wystarczy kliknięcie w klawiaturę komputera. Nas oddzielała od informacji nawet żelazna kurtyna. Dostęp do zagranicznej prasy był bardzo ograniczony, trzeba się było pofatygować do Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy, mieszczącego się w Warszawie naprzeciwko gmachu Komitetu Centralnego PZPR. Przodująca siła narodu, podobnie jak teraz, lubiła mieć oko na środki masowego przekazu. Jeśli chodzi o mnie, w redakcji dostawałem tylko „Sowietskij Sport”, „Československý Sport” i enerdownskie „Deutsches Sportecho”, które od razu wyrzucałem, bo w ogóle nie znam niemieckiego, a tłumacza Google jeszcze nie było.

Wszystkie potrzebne informacje zapisywałem, podobnie jak koledzy, długopisem w zeszytach, który wozilem ze sobą na zawody. Wolałbym przed wyjazdem zapomnieć spakować szczoteczkę do zębów czy bokserki na zmianę niż wspomnianego zeszytu. Co do tego, że dzisiejsi dziennikarze sportowi wiedzą od nas dużo więcej i biją nas na głowę znajomością angielskiego, nie ma żadnych wątpliwości.

Drugi sort

Za mojej młodości szacowni dziennikarze pogardzali nieco sportowymi. Uważali ich za coś w rodzaju gorszego sortu. Wykpiwano wytarte zwroty, które znaleźć można było w sportowych sprawozdaniach. Określenie boksu jako szermierki na pięści czy relację o tym, że napastnik huknął na bramkę jak z armaty, rzeczywiście można było spotkać. Od tej przyzwary nie jest jednak wolna nasza dzisiejsza profesja. Wytlumaczeniem może być pośpiech, w jakim pracujemy. Piszących w dziennikach dodatkowo gonił termin wysłania sprawozdania, co wiązało się z pracą drukarni, o której napiszę za chwilę.

Nie wiem, czy za komunę wyższość kolegów wobec piszących o sporcie nie wynikała po trosze z zazdrości. My, w odróżnieniu od nich, mieliśmy choć trochę swobody.

No dobrze, pochwałę się. Swego czasu krakowska gazeta „Tempo” i Wydawnictwo Literackie ogłosiły wspólnie konkurs na opowiadanie o piłce nożnej. Wygrałem go – dostałem drugą nagrodę, bo pierwszej nie przyznano. Większą satysfakcję niż honor i wcale nie małe pieniądze sprawił mi fakt, że wystartowało w konkursie sporo szacownych i na co dzień niezajmujących się tą dziedziną dziennikarzy, a nawet literatów. Oczyma duszy widziałem, jak muszą zgrzytać zębami z wściekłości, że wyprzedził ich jakiś młodziutki dziennikarzyna sportowy.

Osobowości

W dziennikarstwie, niezależnie od specjalizacji, ważną rolę odgrywa osobowość. Takie osobowości były i są, choć w przeszłości (a może tylko mi się zdaje) jakby wyrazistsze. Wystarczy wspomnieć Jana Ciszewskiego. Jego polszczyzna i znajomość sportu pozostawiała sporo do życzenia nawet jak na ówczesne czasy, ale w umiejętności tworzenia atmosfery zawodów do dziś pozostaje niedościgłym wzorem. A Bohdan Tomaszewski? Z jednej strony naśmiewaliśmy się z mylenia faktów przez wielkiego radiowca, z drugiej – podziwialiśmy jego sposób mówienia piękną, bogatą polszczyzną, w dodatku niepowtarzalnym głębokim głosem. W dziennikarstwie pisany też był osobowości, takie choćby jak Maciej Biega ze „Sportowca”, który umiał dotrzeć do zakamarków duszy zawodników, a później sprawnie przełać wszystko na papier.

Czy we współczesnym dziennikarstwie sportowym są osobowości? Oczywiście. Finansowo mają się lepiej niż te z moich młodych lat, ale wszechwładna komercja wyraźnie odcina się na ich pracy. Czy występy w reklamach firm bukmacherskich przystoją komuś opowiadającemu o sporcie? Pewnie jestem starym ramolem, ale bardzo mi się to nie podoba.

Kiedyś to było...



Rys. TOMASZ WATEK

Wspomnienia z pracy w zawodzie kojarzą mi się zawsze z kapitalną atmosferą, jaką panowała w redakcjach, a szerzej – w całym naszym środowisku. Było to środowisko dość hermetyczne, niełatwo było do niego trafić. Trzeba było pozytywnie przejść cały proces przyzuczenia do zawodu, a później uzyskać akceptację kolegów. Gdy odchodziłem z „Przeglądu Sportowego”, mój szef Lech Cergowski prosił mnie, abym kandydatów na moje miejsce zabierał na jednodniowy wyścig kolarski i przekazał mu swoją rekomendację. Jak pamiętam, zaakceptowałem dopiero trzeciego kandydata i dziś Tomek Jaroński jest jednym z popularniejszych sprawozdawców Eurosportu.

Niemal wszyscy, z wyjątkiem może takich gwiazd jak Ciszewski, Tomaszewski, Bogdan Tuszyński czy Tomasz Hopfer, niezależnie od wieku byliśmy po imieniu. Częściej po przezwisku, bo każdy miał jakąś ksywkę. Jeśli chodzi o mnie, nie była skomplikowana, bo nosiłem ją od podstawówki: Mitel. Wspomniany Maciek Biega próbował mnie co prawda ochrzcić Starym Myśliwcem, bo podczas Wyścigu Pokoju, na który razem jeździliśmy, na terenie Czechosłowacji preferowałem winiak Starą Myśliwecką, ale się nie przyjęło.

Jednego z kolegów nazywaliśmy Trupią Główką, ale tylko za plecami, bo tego bardzo nie lubił. Ksywka wzięła się stąd, że rzekomo miał on być podobny do trupich główek malowanych na urządzeniach elektrycznych pod napięciem. Najczęściej jednak przezwiska, tak jak moje, tworzone od nazwisk i nikt się nie obrażał.

Redakcje jak korporacje

Część moich kolegów, mimo osiągnięcia wieku emerytalnego, nadal pracuje w mediach. Z niektórymi utrzymuję kontakt, z innymi się urwał. Z tego, co słyszę, współczesne redakcje przypominają atmosferę biura korporacji. Nie chodzi tylko o to, że nie słychać stukotu maszyn do pisania, bo zastąpiły je komputery. Przychodzi się tam jak do biura, zanikło życie towarzyskie, a nierzadki kiedyś widok kogoś zataczającego się po korytarzu jest wręcz nie do wyobrażenia.

Co więcej, praca online, zwłaszcza po tym, kiedy wymuszała ją pandemia, stała się czymś powszechnym. Wkrótce pomieszczenia redakcji mogą być w ogóle zbędne, wystarczy jeden pokój dla sekretarza redakcji. To nie idzie, moim zdaniem,

w dobrym kierunku. Dziennikarze powinni się spotykać, gadać ze sobą, a czasem – dlaczego nie! – wspólnie napić czegoś mocniejszego. Właśnie w ten sposób rodziły się kiedyś fajne pomysły.

Słuchać głosu, że sztuczna inteligencja niedługo zniszczy wiele zawodów wykonywanych teraz przez ludzi, w tym dziennikarstwo. Takie przemiany już się zdarzały. Rewolucja przemysłowa w XIX w. posłała na zieloną łąkę rzesze rzemieślników. Sam byłem świadkiem, jak niemal w jednej chwili na bruk trafili wysoko wykwalifikowani drukarze. Wielu z nich znałem, ceniłem i lubiłem. Zgubiły ich elektronika i zmiana technik drukarskich.

Do drukarni na mleko

Dom Słowa Polskiego w Warszawie chlubił się mianem największej drukarni w Europie. Może i była największa, ale najbardziej zacofana. Pamiętam, że kiedyś przyjechała zwiedzić go delegacja z Afryki. „A gdzie jest główny komputer?” – zapytał ciemnoskóry gość. My nawet nie bardzo wiedzieliśmy, co to jest komputer.

W Domu Słowa Polskiego pracowało się w ołowiu. Szkodliwy wpływ tego metalu na zdrowie był znany, ale istniało przekonanie (nie wiem, czy do końca słuszne), że dobrym antidotum na zatrucie pierwiastkiem jest picie krowiego mleka. Drukarze dostawali więc specjalny dodatek do pensji właśnie na zakup nabiału.

Wyłonił się problem. Towarzysze sztuki drukarskiej stanowczo przedkładali wódkę nad mleko, czym zasadniczo nie różnili się od środowiska dziennikarskiego. Dlatego kierownictwo największej drukarni w Europie postanowiło, że zamiast pieniędzy pracownicy dostawcą będą mleko pakowane w litrowe plastikowe woreczki. Drukarze nie byli tym zachwyceni. Twierdzili, że po wódce czują się lepiej niż po wypiciu mleka.

Po całej drukarni wały się więc woreczki pełne białego płynu, z czego ja akurat byłem bardzo zadowolony, bo po każdym nocnym dyżurze przywoziłem ich kilka do domu, a żona robiła ze zsiadłego mleka twarożek, który uwielbiałem.

Wygrzyzieni

Wydaje mi się, że ludzie więcej wiedzą o drukarni z czasów Gutenberga, bo o niej uczą się w szkole, niż o „ołowianych” czasach, choć było to tak niedawno. W drukarni panowała niesamowita atmos-

fera i kultywowano w niej swoiste obyczaje. Już gdy pojawiłem się po raz pierwszy w Domu Słowa Polskiego na pierwszym nocnym dyżurze, powitał mnie straszny hałas uderzania w blaszane stoły metalowych kast i okrzyki: „Czapa!”. Nie wiedziałem, że wejście do drukarni w nakryciu głowy jest ciężką obrazą dla ludzi w niej zatrudnionych. Starsi pracownicy zwracali się do siebie per „towarzyszu”, co nie miało związku z przynależnością do PZPR, ale było przedwojenną tradycją.

W pracy towarzyszył nam charakterystyczny grzechot linotypów – niektóre pamiętały początki XX w., inne wyprodukowano w którymś z socjalistycznych krajów, jeżeli mnie pamięć nie myli, to w NRD. Linotypista siedział przy klawiaturze przypominającej maszynę do pisania, z góry urządzenia spadały matryce czcionek i odlewano z nich w ołowiu całe wiersze. Wiersze trafiały do metrapaży, który łamał je, czyli składał, w kolumny. Technika ta została zapomniana, ale zostawiła ślady w słownictwie. Mówimy o łamach gazety albo że jakiś tekst znajduje się na którejś kolumnie gazety.

Nie będę dokładnie opisywać techniki druku, sam pamiętam ją świetnie, bo poznałem podczas setek czy tysięcy (kto to policzy?) nocnych dyżurów. Dość powiedzieć, że po zmianie ustroju wszystko się zmieniło: linotypiści, metrapaże, składacze tytułów z dnia na dzień stracili pracę, a niczego innego nie umieli.

Andrzeja, metrapaży, z którym pracowałem najdłużej i którego najbardziej lubiłem, spotkałem wiele lat później w podwarszawskim Konstancinie. Zachodziłem wówczas często do nieistniejącej już restauracji Konstancja. Andrzej zamiatał parking. Pogadaliśmy, zawsze fajnie się z nim gadało. Opowiedział, jak szukał szczęścia w różnych miejscach i różnych zawodach, nigdzie jednak nie zagrał miejsca. Na pewno nie pomagał mu zwyczaj leczenia ołowicy alkoholem, którego nabrał w największej w Europie drukarni. Od właścicielki Konstancji dowiedziałem się później, że musiała zwolnić Andrzeja za pijaństwo; wkrótce zmarł.

Nam, uczestnikom wspomnianego na wstępie obiadu w restauracji, wygrzyzienie z pracy przez sztuczną inteligencję nie grozi. Wszyscy jesteśmy emerytami.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

 SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ: Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny, Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny, Edyta Baker, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Maciej Mikołajczyk, Łukasz Piotrowicz, Andrzej Sikorski, Izabela Szolc, Agnieszka Wolk-Laniewska. Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP). WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o. ADRES redakcji i wydawcy: 00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9, tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68; tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58. DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.	INTERNET www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa. E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada. DRUK: Drukarnia Prasowa S.A., Łódź, e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl	Poczta Polska – prenumerata krajowa: Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600 www.prenumerata.poczta-polska.pl „Ruch” S.A. – prenumerata krajowa: Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7⁰⁰–17⁰⁰, (koszt połączenia wg taryfy operatora). prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę: Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75	www.ruch.com.pl e-mail: prenumerata@ruch.com.pl Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta (koszt połączenia wg taryfy operatora): • połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803 • połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00 Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc., 3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont., L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0 Sprzedaż elektroniczna: www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl Numer zamknięto: str. 1–16 – 2.08.2023 r.
---	---	---	---

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

Po białoruskiej stronie granicy zabrzmiała muzyka.

– Wagner – skłamał Morawiecki. – „Cwał Walkirii”.

Skłamał, bo to była „Aida” Verdiego. „Marsz triumfalny”.

Morawiecki w udającym hełm durszlaku na głowie, w towarzystwie Wąsika, Kamińskiego i Błaszczaka obserwował przez lorgnon płot na granicy. Błaszczak czynił to przez plastikową lornetkę, a Kamiński przez okulary o szklach grubych jak denka od butelek whisky.

Durszlaki zakupiono w Korei Południowej w ramach zwiększonego budżetu zbrojeniowego.

– Pierozyn – zełgał Morawiecki, spostrzegłszy człowieka po stronie Białorusi.

Nie był to ani Pierozyn, ani nawet Prigożyn, lecz uchodząca z Sudanu Południowego.

Wąsik chciał go zastrzelić zabawkową strzelbą, ale Wąsika uprzedził Błaszczak, wyciągając z kabury plastikowy rewolwer i krzycząc: – Pif-paf!

Uchodźcy nawet nie chciało się udawać nieżywego. Nadal przechadzał się po rzadkim lesie.

– Padł martwy! – zawołał kłamliwie Morawiecki. – Odnieśliśmy zwycięstwo!

– To jeszcze nie koniec – mruknął Kamiński, któremu za duży durszlak opadał na oczy.

– Będą atakować aż do skutku.

– Uwaga, dron! – oszukał Morawiecki. Nie był to bowiem dron, tylko ptak. Chyba dudek.

– Zestrzele go rakieta – zadeklarował się Wąsik.

Na dźwięk słowa „rakiet” Błaszczak zaciśnął zęby. Reagował tak od kilku miesięcy, gdy słyszał zwroty: „ruska rakiet”, „pod Bydgoszczą”, „kobieta na koniu”.

– Zestrzele go patriotem – poprawił się Wąsik.

Dudek, czyli dron, zniknął w kępie krzaków, z której wcześniej wyszedł Sudańczyk. Przez chwilę na teatrze pisowskich działań wojennych zapanał spokój.

– Piękny ten nasz płot – zachwycił się Morawiecki. Zachwycił się kłamliwie, płot był bowiem brzydki jak kupa.

– Coś jedzie na wpół do pierwszej – ostrzegł Wąsik.

Morawiecki przesunął lorgnon i skłamał szepem: – Czołg.

Nie był to czołg, tylko quad, którym jechał wnuk białoruskiego gajowego.

– To nie czołg, tylko wnuk białoruskiego gajowego – powiedział Morawiecki. Były to jedne słowa prawdy, które w dwudziestym pierwszym wieku powiedział ten człowiek.

Błaszczak z wrażenia stracił przytomność. Wąsik westchnął głośno, a Kamiński nic nie zrobił, gdyż nic nie słyszał, ponieważ durszlak zatykał mu uszy.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

GOŚKA DANISZEWSKA znowu jest w nastroju funeralnym. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** była na Festiwalu Szekspirowskim i jest przepojona kulturą wysoką.

Daniszewska: – Wiem, że tego nienawidzisz, ale znowu zacznę od własnych trupów.

Wołk-Łaniewska: – Nie nienawidzę, tylko smutno mi się robi.

– No wiadomo. Kiedy wydawało się, że wszystkie kłębki już zdechną, pojawił się nowy trup. Umarł Feliks Siemienas. Najmieszniejszy wariat świata. Kompletny szajbus.

– Chodzący karnawał...

– Że co?

– Taką książkę o nim napisali w latach 90.

– Bardzo słusznie. To był człowiek o niebywałym poczuciu humoru i odjebanych pomysłach. Ostatnio widziałam go, jak hodował jesiotry w Grecji, gdzie wynajął od jakiejś staruszki stawy. Nie kłamie, bo te jesiotry widziałam i jadłam. To on uczył mnie łowić małe pstragi i węgorze w rzeczce. Potem wędził je w beczce przykrytej parcianą szmatą.

– Szmatę pewnie też wynajął od staruszki...

– Szmatą była pod Ostródą, do węgorzy, a staruszka w Grecji do jesiotrów. Nie nadążasz... Taki szajbus już się nie narodzi. Teraz czekam na promocję książki o Jurku, którą napisali Dorota i Marek.

– Wiem, rozmawiałam z nimi, uroczy ludzie. Też chcą przyjść!

– Jak cię zaproszą... Po drodze będę musiała pochować Siemienasa. Sama widzisz, Wołku, że nie mam lekko.

– No widzę, widzę. I współczuję. Ale nie wstrzymaj mnie to od pochwalenia się...

– Czym znowu?

– Wytrwałością. Wytrzymałam dwie godziny na „Hamlecie” w formie baletu flamenco... Bez przerwy!

– Mocna rzecz.

– Żebyś wiedziała. Na początku to było wręcz zachwycające, ale oglądanie tańca non stop przez 120 minut, choćby było w nim dużo przytupywania, to jednak nie dla mnie. Ale nie wyszłam. Ani nie zasnęłam. Nie każdy z przyjaciół, z którymi byłam w Gdańsku, może to o sobie powiedzieć.

– No i co, jedno flamenco to cała twoja przystojak z Szekspirem?

Dialogi dam w drodze do kościoła



– A nie, jeszcze byłam na „Truth’s a Dog Must to Kennel”.

– Ile razy cię prosiłam: mów po polsku!

– Kiedy to się tak nazywało. Także w polskim programie. To cytata z „Króla Leara”. Leon Ulrich przetłumaczył to jako „Prawda jest psem, który musi chować się w psiarni”.

– No widzisz: nie można było tak od razu?

– Chciałam być wierna autorowi. Który mnie absolutnie zachwycił, dla odmiany.

– Autorowi „Króla Leara”?

– Nie, autorowi monodramu o błaźnie króla Leara. Nazwa się Tim Crouch i jest absolutnie olśniewającym brytyjskim... nawet nie wiem, jak to określić... twórcą teatru eksperymentalnego. To jest taka forma przejściowa między monodramem, performansem i stand-upem, poświęcona kondycji teatru i samopoczuciu postępowych ludzi lewicy...

– I niby jakie są?

– Samopoczucie za dobre. A kondycja teatru chujowieńka. I próba podtrzymywania go „jest jak trzymanie zmarłej matki w zamrażarce, aby odbierać jej emeryturę”.

– Optimistyczne.

– Nie. Ale błyskotliwe. A poza tym on chyba sam w to tak do końca nie wierzy, zważywszy że wszędzie ma pełne sale zachwyconej widowni. Ze mną włącznie.

– I co, to wszystko, czym możesz się pochwalić? Po czterech dniach w Gdańsku?

– Nie, jeszcze pieska kupiłam.

– No nareszcie!

– Nie takiego pieska, jak myślisz.

– A jakiego?

– Plastikowego z kiwającą się główką. Takiego, co się sadza za tylną szybą samochodu i on sobie kiwa. To znaczy, za PRL się sadzało.

– A po chuj?

– A bo jeden uroczy starszy pan je sprzedawał. I powiedział: „No patrzy pani, biedny Gierek już dawno umarł, a pieski ciągle się kiwają”. Nie mogłam się oprzeć... Zmieniając temat...

– Proszę!

– Premier mnie oczarował swoją wizją 100 wagnerowców, którzy „przebiorą się za białoruską straż graniczną” albo nawet sami „będą się starali przeniknąć do Polski, udając nielegalnych imigrantów”. Szczególnie termin „przeniknąć” uważam na trafiony. Czy jak zrobisz dziurę w płocie za półtora miliarda, to przenikasz przez tę dziurę, czy po prostu przełazisz?

– A jak robisz dziurę w płocie za półtora miliarda?

– Piłką do metalu za 20 złotych. Nieoceny Czytelnik mi taki filmik podesłał. Mam pewien problem ze zrozumieniem napisów, bo są po arabsku, ale jest info po angielsku, że to droga „Belarus to Germany”, a zdjęcia są z 17 lipca 2023 r. I pokazane jest, jak jeden facet piłuje słup naszego pięknego narodowego płotu u podstawy zwykłą piłką do metalu, a potem się ten upiłowany słup odgina i wszyscy „nielegalni imigranci” radośnie przenikają do polskiego lasu.

– Piękne lasy mamy na Podlasiu.

daniszewska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 259



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI